



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie:
 rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie ss. 1 kop. 35.
 Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnej w 8-miu tomach
 rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: rs. 2 kop. 35.
 Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
 Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi
 rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego
 kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart.
 talnie florenów 5 cent. 5.

W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich, pożytecznych, kwartalnie
 flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
 W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½,
 wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

WCZASY WARSZAWSKIE.

X. STRONNICTWA.

Mając czy kto słyszał kiedy o stronniectwach między matematykami lub fizykami. Tym-

czasem między ekonomistami, publicystami, teologami ciągle toczą się spory świadczące o istnieniu różnicy w zapatrywaniu się, czyli o istnieniu stronnictw. Dla ścisłego jednak określenia rzeczy nadmienię, iż nazwa stronnictwa właściwa jest tylko dla politycznych odcieni, że walczące z sobą na polu religijnym strony nazywamy sektami, a na teoretycznym, naukowym, szkołami. Zdarza się jednak, iż nazw tych niektórzy używają bez różnicy. W niniejszym artykule wszakże będziemy przestrzegali właściwości każdej nazwy.

Na pytanie zatem: dla czego między matematykami lub fizykami nie ma i nie może być szkół, jest tylko jedna odpowiedź, mianowicie: że mają ustalony język, t. j. że do tych samych wyrazów wszyscy jednakowo przywiązują znaczenie. Do wyrazów: ułamek, jednomian, wielomian, wykładnik, trójkąt, bok, kąt, ciężar gatunkowy, siła ciężenia i t. p. to samo znaczenie jest przywiązane w New-Yorku co i w Warszawie. Mówiąc o tych przedmiotach, matematyce lub fizyce nie mogą się nie rozumieć, albowiem do użytych wyrazów i terminów tę samą

myśl łączą i używają ich tylko w oznaczonym zakresie. Wyrazy języka używanego przez nauki ścisłe, są jak dobra moneta pod stemplem państwa wybita, przyjmowana wszędzie w tej samej wartości. Dobry, ścisły język, to dobra i porządna nauka. Chwiejny, nieokreślony ścisły język, to źródło nieskończonych sporów we wszystkich sprawach, jakie umysł ludzki porusza. On to jest ojcem wszystkich sekt, szkół i stronnictw. Nie mówię, żeby nie było różnic leżących w rzeczach i pojęciach, ale to uważam za pewne, że główne leżą w wyrazach, w języku. Brak utartego języ-

ka w naukach społecznych prowadzi do zamieszania, z pośród którego wychodzą radykalni, umiarkowani, demokraci, arystokraci, malthuzianie, socjaliści, idealisci, realisci, deisci i wielkie wojsko innych. Pod temi nazwami jedni rozumieją czarne, drudzy białe, a rozumieją dla tego, że w definicyach użytych przez twórców już leżał brak ścisłości, pozwalający na najsprzeczniejsze pojmowanie rzeczy, o której mówili lub pisali. Podobnie i w sprawach publicznych, w rozprawach parlamentarnych lub nawet prywatnych, prawie wszystkie nieporozumienia pochodzą ztąd, iż do tych samych wyrazów nie wszyscy to samo przywiązują znaczenie. Ztąd zatem wynika, że dla zmniejszenia liczby sporów, czyli co na jedno wyjdzie stronnictw, sekt i szkół, należałoby się zgodzić na ścisły język w każdym zakresie naukowej pracy. Lecz tu zaraz nasuwa się pytanie: czy taki język jak w matematyce i innych naukach doświadczalnych, można zaprowadzić i w naukach społecznych?

Gdyby człowiek był tak nieruchomym wyrazem, jak liczba jest wyrazem niezmiennych stosunków, możnaby niewątpliwie jego czynności, pobudki, uczucia w stałe ująć terminami a tém samem i naukę o nim uczynić stałą. Gdy jednak jest przeciwnie, gdy na czyny ludzkie składa się tyle wpływów, gdy go tak mało znamy osobliwie pod względem umysłowej organizacyi, gdy dotąd każdy co innego rozumie pod wyrazem dusza, uczucie, wola, swoboda i t. p., oczywiście i stałej, ścisłej terminologii być nie może. Gdy zaś wszystkie nauki społeczne o człowieku rozprawiają, więc i one póty nie będą ścisłymi, póki człowiek nie będzie lepiej poznany. O języ-



PROFESOR PALMIERI.

ku zatem matematycznym na tém polu mowy być nie może, a tém samém i o zniknięciu różnic w zapatrywaniu się na stosunki ludzkie, czyli innemi słowy, że stronnictwa, sekty i szkoły są nieuniknioném następstwem obecnego stanu wiadomości naszych.

Nadmienilem, że wprawdzie głównie brak ścisłego języka i równie ścisłych definicij wytwarza różnice w zapatrywaniu się na sprawy religijne, ekonomiczne lub polityczne, jednakże dodałem, że te różnice leżą i w rzeczach samych. I rzeczywiście, gdyby np. ktoś w rozprawie etycznej zapatrywał się na wartość czynów ludzkich ze stanowiska konieczności a drugi ze stanowiska wolnej woli, tedy spór między nimi pochodziłby nie ztąd, jakoby konieczność i wolność miały być tém samém w gruncie i tylko innym wyrazem oznaczone, lecz ztąd, że tak konieczność jak i wolność jeden inaczej, drugi inaczej pojmuje, czyli że tu już nie chodzi o same wyrazy, lecz i o rzeczy. Jedno zapatrywanie się prowadzi do innych następstw, drugie do innych. Lecz gdyby nawet obaj spór wiodący z jednego wychodzili stanowiska, ale wprzód tego stanowiska nie określili, nie zgodzili się na zakres i treść wyrazów: *konieczność* lub *wolność*, także do tego samego wypadku rozumowania ni dojdą.

Przyjawszy tedy jako rzecz dowiedzioną, że w naukach społecznych niemamy ścisłego języka, że brak jego mocno opóźnia postęp samych nauk że zatem i istnienie rozmaitych stronnictw jest konieczne na teraźniejszym stopniu naszych wiadomości o człowieku, rozważmy, jakie jest znaczenie stronnictw.

Najprzód to zdaje się jest pewnem, iż w krajach nie mających odrębnego życia politycznego, stronnictw prawdziwych być nie może. Jeżeli zaś są, to tylko teoretycy podobający sobie w takiej lub innej formie rządzenia, których więc upodobanie wcale biegu rzeczy nie zmienia. Co innego w społeczeństwach uorganizowanych w pewne formy bytu publicznego, gdzie pewne warstwy rodowego pochodzenia, pewne interesa żywo obchodzące mnóstwo ludzi, koniecznie popychają ich ku sobie i tym sposobem pomagają do utworzenia się stronnictw. Innemi słowy, gdzie tylko są w grze interesa a razem jest możliwość ich obrony, wnet naturalną siłą wystąpią obrońcy tych interesów, i za pomocą bądź prasy, bądź przedstawicieli sejmowych uwydatnią swoje stanowiska to jest podzielią się na stronnictwa. W przeciwnym razie, gdzie nie ma interesów, (nie koniecznie ekonomicznych), tam i stronnictw być nie może, albo też będą sztuczne, bez dostatecznej liczby przedstawicieli. Bywają to stronnictwa czeczych deklamatorów, którzy za pomocą utartych a pięknie brzmiących trasel biją się z wiatrakami. Są to teoretyczni zaściankowi politykarze a raczej plotkarze.

Istnienie stronnictw dowodzi różnicy zdania w zapatrywaniu się na pewne sprawy publiczne i na drogi jakimi te sprawy mogą być przeprowadzone. Gdy zaś jak wiadomo ani pojedynczy człowiek, ani stronnictwo nieomylności sobie przypisywać nie mogą; ztąd głos drugiej strony a do tego przeciwniej, może sprawę wyjaśnić. I dla tego to stronnictwa przez ścieranie zdań mogą się bardzo przyczyniać do lepszego załatwiania spraw przychodzących na publiczne rozprawy. Przeciwno podobnej walce trudno coś powiedzieć, byle była prowadzona z umiarkowaniem, i byle rzeczywiście ogólny pożytek był na widoku przeciwników.

Zdarza się jednak, że stronnictwa walcą z so-

bą nie dla tego, żeby doszedłszy władzy przeprowadzić w swoim duchu załatwienie jakiejś sprawy, lecz żeby swoimi stronnikami, krewniakami i kreaturami obsadzić zyskowniejsze urzędy. Wówczas podobne stronnictwa są najzgubniejszemi i prowadzą kraj do upadku. Tak np. czytamy, że w Unii północno-amerykańskiej umiarkowani i radykalni demokraci, agitując za wyborem prezydenta z jednego lub drugiego stronnictwa, głównie mają na widoku dostanie się do władzy, a za pomocą władzy przeprowadzenie swoich kandydatów na posady administracyjne, sądowe, wzięcie w swoje ręce zyskownych przedsięwzięć, jak koleje żelazne i t. p. Stronnictwem powodują nie idee nie forma rządu, nie interesa ogólne, lecz tylko osobiste.

Jako ważną korzyść z istnienia stronnictw można i to przytoczyć, że coraz nowi ludzie przychodzą do steru władzy. Ludzie stojący na czele rządu, mając wiele do myślenia i do działania, często wśród wielkich przeciwności, nadzwyczaj prędko się zużywają, tak, iż gdy przychodzi nowa a niespodziewana sprawa, już umysł ich nie może dorównać trudności i posilkują się tylko próbami, przechodząc z jednego do drugich. O ludzi, jak nazywają, politycznych wszędzie niesłychanie trudno. Nowe stronnictwo może przyprowadzić świeże siły i zdolności, dla których otwiera się droga do sławy, a interes ogólny zyskuje staranniejszych i bystrzejszych sterników. Niejaki przykład tego widzimy w Anglii. Tam torysowie i whigowie z daleka tylko przypominający konserwatystów i radykalnych na lądzie europejskim, na przemiany się wysadzają z krzeseł rządowych. Tak gdy szło niedawno o odebranie charakteru rządowego anglikanizmowi w Irlandyi lub o stosunki rolnicze w tymże kraju, torysowie mocno zubożeni w ludzi zdolnych, musieli ustąpić miejsca dzisiejszemu gabinetowi, który wyszedł z łona whigów i sprawy rzeczne, szczególnież kościelną, przeprowadził. Czasami dzieje się i tak, że stronnictwo zasiadające w opozycji obiecuje przeprowadzić jakąś sprawę popularną, byle tylko przeciwników wysadzić i usunąć od władzy, chociaż samo w zasadzie było przeciwnie projektowanemu załatwieniu. I w takim razie jednak interes publiczny zyskuje.

Powiedziano wyżej, iż stronnictwa tam tylko mogą naturalnie istnieć, gdzie są przedstawicielami realnych interesów, czy to chodzi o jakieś zmiany w zasadniczych ustawach, czy też o ważne reformy na polu ekonomicznym. Ztąd jednak nie wynika, że już nie ma żadnych innych interesów, które nazwiemy sobie umysłowymi, a które także wytwarzają w obronie swojej stronnictwa. Jakkolwiek może być prawdą w części, że wiek nasz głównie przemysłowy, materyalne interesa rozumie i dla idei, dla zasad walki nie wszczynają; przecież nie wszyscy takim tylko dotykającym sprawom są oddani, ani nawet ci co są im oddani, jeszcze tak zupełnie pewnych idei nie są pozbawieni.

W tym wieku tak okrzyczanym za zmateryalizowany widzimy podnoszone i gorąco roztrząsane sprawy religijne tak dobrze jak w 16-tym. Do palących jak nazywają praw, należy dzisiaj rozdział kościoła i państwa, wyłączenie kościoła ze szkoły, pytanie czy humanizm czy empiryzm ma służyć za podstawę w wychowaniu młodzieży i t. p. Tu już w walce są nietylko interesa materyalne, ile raczej pewne idee, zasady, przekonania. A te przekonania i wyobrażenia przeniknęły do mass ludowych, które na wyborach sejmowych głosują za tymi, co wyznają tylko co przytoczone mniemania, lub też za tymi, co chcą

pozostać przy starym porządku rzeczy. I znowu z powodu tych podniesionych spraw nowych tworzą się stronnictwa, które wprowadzają gdzie mogą życie nowe, idee czyli wyobrażenia.

Mając za niejaka wskazówkę przeszłość i obecnosc, można utrzymywać, że nowych spraw i wątpliwości nigdy nie zabraknie, a tém samém że i stronnictwa broniące ich lub im przeciwnie zawsze będą istniały. Leży to w naturze człowieka, który nie może jednego przedmiotu doskonale poznać, a cóż dopiero spraw zawikłanych i poplątanych z innemi! Jeden tak, drugi inaczej tę samą rzecz widzi. Lecz jeżeli stronnictw, szkół i sekt uniknąć niepodobna, gdy one w części mają i dodatnie znaczenie, jednakże zdaje się, że możnaby ich liczbę zmniejszyć przez wyrobiony ścisłszy język w naukach społecznych, przez definicje jasne i zupełne, przez wypędzenie tulaćkich wyrazów nie wyrażających odpowiednich sobie rzeczy i stosunków, lecz fantazyjne, indywidualne urojenia.

Jako wniosek z powyższego rozważania wynika, że stronnictwa są konieczne gdziekolwiek ludzie żyją w społeczeństwie, że są one tam tylko naturalne gdzie przedstawiają walne interesa, że o tyle są usprawiedliwione, o ile przeprowadzają sprawy obchodzące dobro ogółu, a godne potępienia gdy tylko osobisty zysk mają na celu. Nareszcie jako korolaryum wynika i to, że stronnictwo i jego koryfeusz narzucający się społeczeństwu za sterników i doradców, tylko w zakresie prawem dozwolonym mogą się spierać i walczyć z sobą. Wyjście z tych granic jedynie w stanie anormalnym mogłoby być rozumiane, lecz nie zawsze usprawiedliwione.

Krupiński.

OKO NIEWIDZIALNE.

OPOWIADANIE

ERCKMANN-CHATRIANA.

I.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 61).

Tę razą to już wypadek nadzwyczajny! Burmistrz krzyczy i zżyma się. Pokój obrewidowano—ściany na nowo otynkowane—a akt zejścia posłano do Newstadt.

Pisarz nabazgrał na marginesie: „umarł na appopleksję.”

Cała Norymberga oburzona była na oberżystę. Byli tacy którzy chcieli go zmusić do zdjęcia żelaznego pręta, pod pozorem że ten kawałek metalu obudzał w ludziach niebezpieczne myśli. Pojmujesz pan że stary Nickel słuchał jednym uchem a drugim wypuszczał.

— Pręt ten, mówił, założony został przez mego dziada, dźwiga szyld *Thustego wolu* już od stu pięćdziesięciu lat, i nie szkodzi nikomu nawet furom z sianem które pod nim mogą przejechać, bo przymocowany jest przeszło na 30 stóp wysokości. Niechaj ci którym przeszkadza odwracają głowę, a widzieć go nie będą.

Ludziska uspokoili się wreszcie i przez kilka tygodni nie zaszło nic nowego. Na nieszczęście student jakiś z Heidelberga w drodze do uniwersytetu zatrzymuje się wezórąj *Pod thustym wolem* i żąda noclegu. Był to syn pastora.

Jakże przypuścić ażeby synowi pastora przyszło do głowy wieszać się na przecie od szyldu

dla tego że jakiś gruby jegomość i wojskowy powiesili się w tém samém miejscu. Przyznaj panie Krystyanie, że rzecz była nieprawdopodobna. Powody te nie mogłyby się wydawać wystarczającymi ani panu ani mnie. Otóż...

— Dosyć, dosyć zawołałem, wszystko to jest okropne. Odgaduję tu straszną tajemnicę. Nie winien tu ani pręt, ani pokój...

— Czybyś pan posadzał oberżystę, najuczciwszego w świecie człowieka, należącego do jednej z najstarszych rodzin w Norymberdze?

— Nie, nie—niech mię Bóg zachowa od nieśluszných podejrzeń; ale są przepaście których wzrok ludzki nie ośmiela się zgłębiać.

— Masz pan słusność odparł Toubac, zdziwiony moją egzaltacją; mówmy lepiej o czém inném. A propos panie Krystyanie... a nasz krajobraz?

Zapytanie to wprowadziło mię napowrót w świat rzeczywisty. Pokazałem tandeciarzowi ukończony obraz. Targ ubiliśmy w téj chwili a Toubac zadowolony schodził po drabinie upominając mię abym nie myślał więcej o studencie heldelberskim.

Chętnie byłbym poszedł za radą tandeciarza, ale kiedy dyabeł wmiesza się do naszych spraw, pozbyć go się nie tak łatwo.

II.

W samotności, wypadki te przedstawiły mi się ze straszną jasnością.

Stara, mówiłem sobie, winna jest wszystkiemu. Sama ona obmyśliła te zbrodnie i wykonała je; ale jakim sposobem? Czy uciekała się do podstepu, czy też wzywała potęg niewidzialnych?

Przechadzałem się w moim kątku, a głos jakiś wewnętrzny szeptał mi: „Niebo nie napróżno dozwoliło ci spostrzedz Fledermausa przypatrującą się konaniu swéj ofiary i nie napróżno dusza biednego młodzieńca, w kształcie motyla nocnego, ze snu cię zbudziła; nie! nie napróżno. Krystyanie, niebo powierza ci straszliwe posłannictwo! Jeśli go nie spełniesz, drżij abys sam nie wpadł w łapkę staréj wiedźmy. Może ten obrzydły pajak, w téj chwili już zaciąga w ciemności swoje sieci.”

W ciągu kilku dni te obrazy ściagały mię bez przerwy; traciłem sen, nie byłem w stanie pracować pędzel wypadał mi z ręki, a co dziwniejsza i tyśiąć razy straszniejsza, zacząłem już spoglądać na pręt z pewnem upodobaniem. Nareszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, zbiegłem pewnego wieczora z drabiny przeskakując po cztery szczeble na raz i wcisnąłem się pod drzwi staréj Fledermausa, pragnąc odkryć jéj tajemnicę.

Odtąd nie minął dzień żebym staréj nie śledził, ani na chwilę z oczów jéj nie tracąc; ale wiedźma tak była chytra, węż miała tak delikatny że nie odwracając głowy odgadywała mię poza sobą i wiedziała o mojej pogoni. Zresztą udawała że nie nie widzi... szła na rynek i do rzelnika jak zwykła kobieta; podwajała tylko kroku i mruczała niewyraźnie pod nosem.

Po miesiącu przekonałem się że niepodobna mi będzie tym sposobem dopiąć celu, i ta pewność przeniknęła mię smutkiem nie do opisania.

— Co tu począć, mówiłem do siebie. Stara odgaduje moje zamiary, i wystrzega się. Wszystko mi opuszcza, wszystko! O stara zbrodniarcko! Zdaje ci się już że mnie widzisz na końcu twego sznura!

Gdy tak ciągle stawiałem sobie to pytanie „co czynić?” świetna myśl przyszła mi do głowy. Izdebka moja wznosiła się ponad domem czarownicy ale odtéj strony nie miała okna. Podnio-

słem więc zlekka jedną dachówkę i któż opisze moją radość kiedy głab staréj rudery przedstawił się moim oczom. „Nareszcie mam cię, zawołałem, już mi się nie wymkniesz! Ztąd zobaczę wszystko, twoje krzątania i zwyczaje kuny biegającej po swéj norze. Nie przypuszczasz istnienia tego oka niewidzialnego, które widzi zbrodnię w chwili jéj poczęcia. O! sprawiedliwość zwolna postępuje, ale dochodzi nareszcie do celu!

Trudno sobie wystawić cóś ohydniejszego, jak ta jama widziana z wysoka: głębokie podwórze wyłożone omszonymi płytami z kamienia; w jednym kącie studnia w której plesniewąca woda odstrasza swym widokiem; dalej schody kręcone, w głębi galerya z drewnianą poręczą; na balustradzie rozwieszona stara bielizna i wór służący za siennik; na pierwszym piętrze na lewo ściek kamienny świadczący o istnieniu kuchni; na prawo wysokie okna budynku wychodzącego na ulicę — kilka doniczek z uschniętymi kwiatami: wszystko to ponure, pópadane i wilgotne.

Słońce zaglądało tylko przez dwie czy trzy godziny dziennie do téj jaskini, potem cień się wznosił coraz wyżej, a światło kresliło kąty rozwarte na ścianach ogołoconych z tynku, na ganku spróchniałym, na szybach zamglonych. Miliony atomów kapalo się w złotych promieniach słońca, których najmniejszy nie dotykał powiew. O tak! legowisko staréj Fledermausa takie tylko być mogło—musiała się w niem rozkoszować.

Zaledwie skończyłem te rozmyślenia kiedy stara weszła. Wróciła z targu, słyszałem jak drzwi rudery zaskrzypiały. Potem Fledermaus ukazała się ze swym koszykiem: zdawała się być znużoną, bez tchu. Garniowanie czepka spadało jéj aż na nos; uczepliła się jedną ręką poręczy i weszła po wschodach na górę.

Upał był duszący. Był to właśnie jeden z tych dni w których wszystkie owady, świerszcze, pajaki, muskity napelniają stare rudery szelestem ledwie dosłyszalnym tarcia i świrowania podziemnego.

Fledermaus przeszła zwolna przez galeryę jak łasica która się czuje u siebie. Kwadrans przeszło pozostała w kuchni potem powróciwszy rozwiesiła bieliznę, machnęła kilka razy miotłą po stopniach schodów na których walały się żdzbla słomy, nareszcie podniosła głowę i obwiodła zielonemi oczkami cały dach, szukając czegoś i zagłębiając się gdzieś spojrzeniem.

Czy szczególną jaką intuicyą domyślała się się czegoś? Nie wiem,—ale zasunąłem po cichu dachówkę i zaniechałem tą razą wszelkich spostrzeżeń.

Nazajutrz Fledermaus zdawała się nieco spokojniejszą. Jasny snop promieni słonecznych igrał w rogu galeryi.

Przechodząc tamtędy stara schwytała w locie muchę i delikatnie podała ją pajakowi gnieżdżącemu się w kącie dachu.

Pajak był tak wielki, że mimo odległości widziałem go spuszczonego się po oczkach siatki a potem po cieniutkiej nici pajęczyny, niby sączącą się kroplę jadu. Schwycił zdobycz z rąk wiedźmy i szybko wbiegł na dawne miejsce. Wtedy stara popatrzała na niego z uwagą: oczy jéj na pół się przymknęły, kichnęła, i sama do siebie rzekła z szyderstwem w głosie.

— Na zdrowie, moja piękna, na zdrowie.

Przez sześć tygodni nie mogłem odkryć nic takiego coby świadczyło o jakiej tajemniczej potędze staréj Fledermausa. Zwykle albo siadywała pod gankiem i obierała kartofle, lub też rozwieszała bieliznę na balustradzie. Czasem prze-dła,—ale nigdy nie śpiewała, jak to czynią pocz-

ciwe starszuszki których głos drżący tak dobrze się dostraja do furczenia kołowrotka.

Cisza panowała wokoło. Stara nie miała nawet kota tego ulubionego towarzysza starych pannen. Nigdy wróbel nie usiadł tam na rynnie, gołębie przelatując nad podwórzem zdawały się lot przyspieszać. Można by powiedzieć że wszystko lękało się jéj wzroku.

Pajak tylko jeden lubił towarzystwo pomarszczonej Fledermausa.

Dzisiaj nie mogę się wydziwić méj cierpliwości podczas tych długich godzin obserwacji: nie mię nie nużyło nic mi nie było obojętném; za najmniejszym szelestem podnosiłem dachówkę; była to ciekawość bez granic podbudzana przez nieokresloną obawę.

Toubac uskarżał się.

— Panie Krystyanie, mówił do mnie, na co u diabła czas trwonisz? Dawniej dawales mi obrazek co tydzień, dziś zaledwie raz w miesiąc mogę się o co doprosić. O! malarze, malarze! Dobrze ludzie mówią „leniwy jak malarz.” Jak tylko czują kilka krajcarów w kieszeni zasypiają sobie spokojnie.

Ja sam zaczęłem tracić odwagę. Patrzałem, obserwowałem, wszystko napróżno,—nie odkryłem nic nadzwyczajnego. Już sobie tłumaczyłem że stara może nie jest tak niebezpieczną, że może ją krzywdziłem posadzając Bóg wie o co słowem w duszy uniewinniałem się przed megerą. Ale pewnego wieczoru kiedy wyglądając przez ów otwór w dachu, oddawałem się tym rozmyśleniom, dekoracya nagle się zmieniła.

Fledermaus przebiegła galeryę z szybkością błyskawicy. Nie była to ta sama kobieta. Wyprostowana jak kij, ze szczękami zaciśniętymi, z oczyma w jeden punkt utkwionemi, z szyją wyciągniętą chodziła wielkimi krokami, a wiatr rozwiewał siwiejące jéj włosy.

— Oh! oh! rzekłem do siebie—coś tu się święci. Baczność!

Ale cień pokrył całą rudę—odgłosy miasta przycichły, spokojność nastała.

Miałem już położyć się na posłaniu, kiedy rzuciwszy okiem przez okno spostrzegłem światło na przeciwko: jakiś podróżny zajął fatalny zielony pokój.

Wtedy wszystkie moje obawy zbudziły się na nowo. Niespokojność obrzydliwej Fledermaus wyjaśniała się—stara wietrzyła ofiarę.

Całą noc nie mogłem spać. Chrzest słomy, chrobotanie myszy pod podłogą, drżeniem mię przejmowały. Światło naprzeciwnie zagasło. W jednéj z tych chwil trwogi przejmującej, czy to w złudnym obrazie, czy też w rzeczywistości, zdawało mi się że widzę starą wiedźmę patrzącą także i równie jak ja podsluchującą. (d. n.)

KORESPONDENCYA.

z Czerskiego.

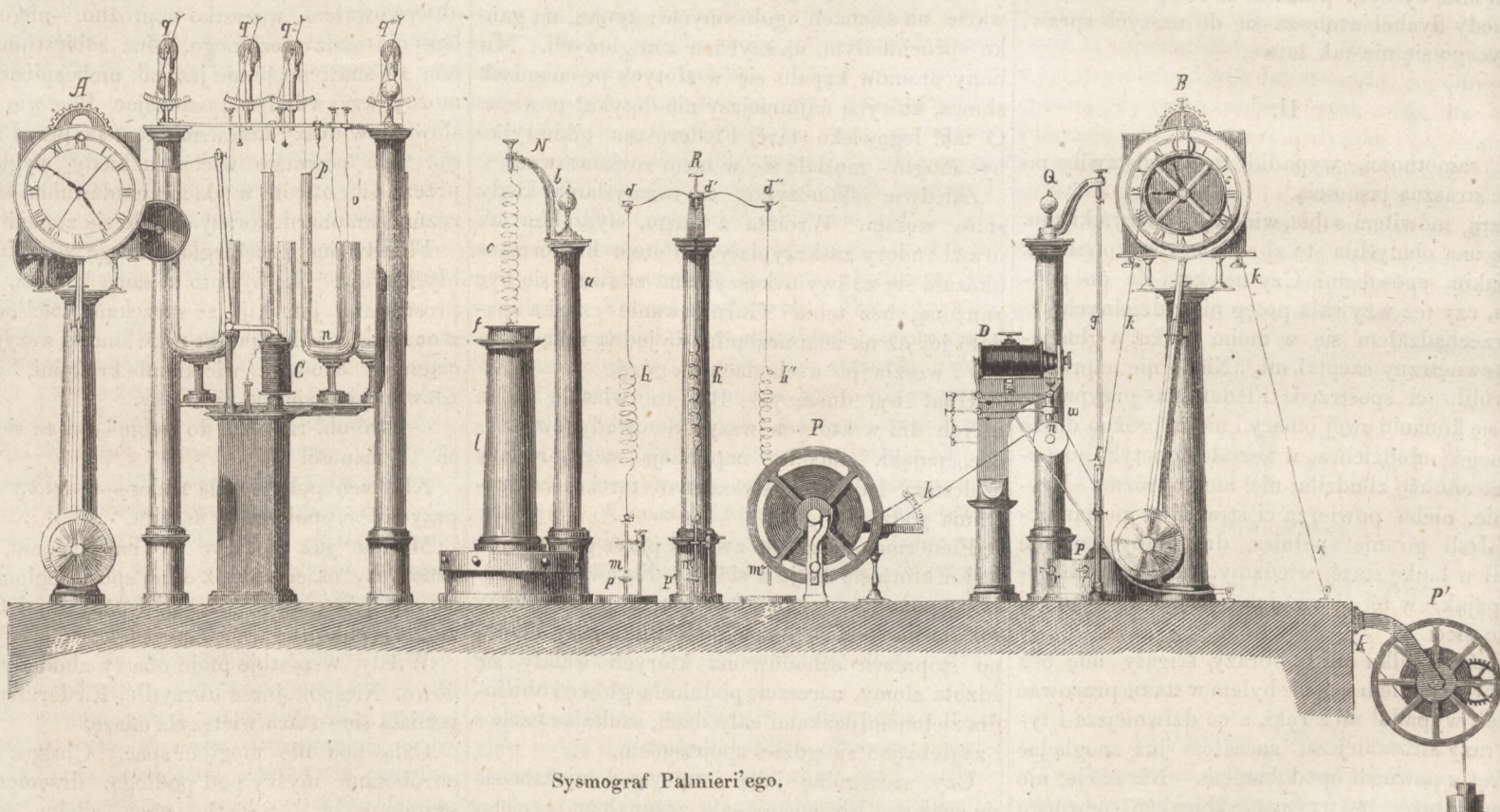
Ziemia Czerska, wiadomo, jest jedną z najruchliwszych i najlepiej uprawianych w Królestwie. Bliskość rzekł spławnych, jak Wisła i Pilica, niewielka odlegość drogi żelaznej, krzyżowanie się kilku gościńców bitych, handlowość miast po niej rozrzuconych, a przytém łatwy zbyt wyzysków ziemnych w Warszawie, ożywają tę część kraju i podnoszą wartość ziemi, zachęcając nietylko do samej uprawy, ale i do przemysłu rolnego. Rzadko też gdzie po prawym brzegu Wisły napotkać można tak liczne, i z takim komfortem urządzone zabudowania go-

spodarskie, mieszczące taką obfitość plonu, a mianowicie inwentarza doborowego i ulepszanego, rzadko zaopatrzenie w tyle różnorodnych narzędzi rolniczych, bez których obrobienie roli, przy dzisiejszych stosunkach włości do właścicieli większych majątków, idzie leniwo i ospale, a częstokroć i unicestwia nakłady. Ziemia Czerska pod względem gospodarczym zakrawa już na pozór zachodnio-europejski, systematyzuje swe płodozmiany i przez zaprowadzanie przemysłu rolnego część plonów konsumuje na miejscu, cenę ich przez to podnosząc. Prawda, że nie spotkasz się tu z tak rozległymi lasami, jak w innych miejscowościach, szczególnie po prawym brzegu Wisły i w południowych stronach kraju, a oprócz Sękocińskiego, któremu sprawiedliwie miano lasu należy, reszta począwszy od Tarczyna, są to raczej większe lub mniejsze zagajniki; lecz odrąciwszy niejaki procent na zwykłe zmarnowanie spowodowane lichem gospodarowaniem właściciela, reszta, przy przechodzeniu większych własności na coraz dro-

pod względem wzajemnego ubezpieczenia się od gradobicia. Polega ona na tym, ażeby cały powiat stowarzyszył się, ale bez żadnych składek określanych z góry, oraz ażeby gotówka nie figurowała tu wcale, prócz niewielkiej opłaty wpisowego przy przystąpieniu do Stowarzyszenia. Wynagrodzenie zaś, na wypadek gdziekolwiek w majątku stowarzyszonym zdarzonej klęski gradowej, następować ma przez złożenie poszkodowanemu pewnej określonej ilości ziarna w naturze, stosownie do wysokości szkody. W dostarczeniu tego ziarna przyjmują udział wszyscy stowarzyszeni nieposzkodowani, i to w stosunku liczby morgów, z jakimi do stowarzyszenia przystąpili. Nie chodzi nam tu o przedstawienie wszystkich szczegółów tego projektu; główna rzecz i różnica leży w tym, że stowarzyszenie takie byłoby istotnie *wzajemnem* i obeszłoby się całkiem bez osób trzecich, wyrugowałoby wszelką spekulację. Zdarza się klęska gradowa: owoż, dla sprawdzenia i obliczenia jej zjeżdża delegacja z pomiędzy stowarzyszonych wybrana, sza-

dziom kłopotu z tem wszystkiem, można będzie ubezpieczyć się w jakim towarzystwie makro- czy mikroburjskiem, żeby człowiek za opłatą assekuracyjną miał głowę spokojną o swoje zbiory.

Projekt obywateli grójeckich, już sformułowany i do rozpoznania władzy gubernialnej przedstawiony, ma tę niedogodność, że się przy nim nikt niepożywi, prócz jednego pisarza który pod kierunkiem przewodniczącego w delegacji utrzymywać będzie registr stowarzyszonych. Dogodności zaś jego są następujące: nikt nie będzie opłacał podatku zabezpieczającego napróżno, to jest przez czas bodajby do sądnego dnia, jeśli się klęska gradowa nie zdarzy, lecz wtedy tylko przyjdzie z ofiarą gdy nieszczęście spadnie na kogoś rzeczywście; powtóre, ponieważ ubezpieczenie nie będzie miało formy podatkowej ani żadnego ryzyka, przeto i posiadacze najdrobniejszych nawet udziałów ziemi, to jest chłopci, chętnie do takiego ubezpieczenia przystąpią, co do tychczas miejsca nie miało; potrzebie, ponieważ



Sysmograf Palmieri'ego.

bniejsze, usunięta została skutkiem potrzeby rozszerzenia gruntów owych, których plon nierównie więcej popłaca niż drzewo. Nie będą więc absolutnym wzorem gospodarstwa wiejskiego, bo mu daleko jeszcze do prawidłowego uregulowania łąk i lasów, jak to ma miejsce w Niemczech lub w Anglii, nasze Czerskie, trzeba mu oddać sprawiedliwość, należy do postępów; i nie znaleźć tu podobno już ani kawałka ziemi w większych własnościach uprawionej starosłowińską metodą trójpłowych zmian, panującą jeszcze w częściach kraju mniej ludnych i mniej w komunikacye zaopatrzonych. To też z wielkiem powodzeniem idzie tu fabryka cukru znana pod nazwą *Cukrowni Obywateli Czerskich* założona przed sześciu laty w Jasieńcu; a dom kommissowy pana Rozmanitha w Grójcu, obchodzący się bez wielkich firm i wielkich zachodów, istotne przysługi wyświadcza okolicy.

Obecnie, przy takiej powodzi rozmaitych ubezpieczeń, obywatele tutejsi, mianowicie powiatu Grójeckiego, powzięli dosyć oryginalną myśl

kuje szkodę, i ciężar jej według przyjętej normy rozkłada na wszystkich. Stowarzyszeni zsypują poszkodowanemu taką ilość ziarna jaka na nich przypada, np. po dwa lub trzy garnce z morga, i na tem kończy się cała manipulacja. Czy może być coś prostszego i praktyczniejszego?...

Jest to zapewne zbyt proste i praktyczne, ażeby absolutnie mogło podobać się finansistom. Według reguły finansowej daleko prostszą rzeczą jest: stowarzyszenie oprócz na składkach opłacanych z góry, założyć biuro, któreby trudniło się przyjmowaniem i kontraktowaniem tych składek, oraz kasę, któraby je przechowywała. Ztąd powstanie kilku urzędników, mniej więcej: sekretarz, buchalter, kassyer i jaki taki kancelista, którym trzeba płacić roczną pensję ztąd powstaną wzorowe księgi buchalteryjne, piękne kwitariusze i dzienniki, dla których na spoczynek trzeba będzie płacić za lokal... choćby klęska gradowa nie zdarzyła się nawet przez dziesięć lat, lub też, dla ulżenia miejscowym lu-

tu wcale figurować nie będzie gotówka, o którą w kraju naszym i w porze przedźniwowej, a wreszcie i z natury obyczaju naszego, nierównie trudniej, lecz zastąpić ją ma ofiara w naturze, która jest gotową i w imaginacji przynajmniej nie tak groźnie wygląda jak pieniądz przy rozstaniu, przeto i realizowanie tych ofiar przyjdzie nierównie łatwiej; po czwarte, ponieważ nie będzie ani gotówki żadnej, ani kassy, przeto uniknie się kłopotu co robić z pieniędzmi w razie nagromadzenia bezpotrzebnie remanentów.

Przeciw temu projektowi powstaje jeden, niby poważny zarzut: co będzie w takim razie, jeżeli cały powiat albo większa jego część ulegnie klęsce gradowej? Oczywiście, zarzut ten traci wyrażnie przesadą, a przynajmniej przewiduje jakiś fakt wyjątkowy zdarzyć się mogący raz w sto lat, jeśli doświadczenie w tych rzeczach ma jakąś wartość. Gdyby nawet i taką wyjątkowość chciano przyjąć w rachunek to i na nią jest sposób. Naturalnie, w razie klęski ogólnej w po-

wiecie i bezwyjątkowej, niktby żadnej ulgi doznać nie mógł, bo poszkodowanymi byliby wszyscy; w kupie nawet znacznej przewagi poszkodowanych nad oszczędzonymi, ci ostatni byliby zbyt przeciążeni, gdyby musieli w całej ścisłości litery prawa dopełnić zobowiązań, pod rygorem egzekucyi sądowej, jaka wymagana jest w projekcie powyższym. Lecz w takim razie, powiat sąsiedni, stowarzyszywszy się na podobnych zasadach u siebie, mógłby przyjąć wzajemne zobowiązanie względem drugiego, że w wypadku o którym mowa, ma przyjść w takiej a takiej części w pomoc powiatowi dotkniętemu ogólną klęską gradową, i rzeczby się załatwiła.

Innych zarzutów przeciw temu projektowi nie słyszeliśmy. Pisał ktoś wprawdzie, snadź nie-dokładnie poinformowany, w *Kuryerze Warszawskim*, że projekt ten chybia w tém, iż pozostawia wiele na dobrej woli stowarzyszonych. Tak bynajmniej nie jest; czytaliśmy całe urzędowe brzmienie projektu i przekonaliśmy się, że nietylko wszystkie szczegóły obmyślane i przeprowadzone są z należytym zrozumieniem i przewidzeniem różnych kombinacyj, i dobrej woli nie zgoła nie pozostawiono, lecz cała manipulacya poddana jest pod rygor prawa. Nie jest to bynajmniej zbyt uczciwem, i tak być powinno w sprawach dotyczących dobra ogólnego, z których względ na wszelki sentymentalizm usunięty być musi; prawo powinno być jasne i ostre jak miecz. Nie lekceważmy jednak tak bardzo tej dobrej woli sąsiedzkiej ziemian naszych. Mieliliśmy niejednokrotnie przykłady, że w razie klęski czy to gradowej, czy ogniowej, bez żadnego zobowiązania spieszą na pomoc poszkodowanemu, jak to świeżo jeszcze, bo przed kilku miesiącami, widzieliśmy po wielkim pożarze wydarzonym w jednym z majątków powiatu grójeckiego należącym do obywatela R..., któremu w godzinę czasu płomień zostawił tylko niebo i ziemię po wszystkich zabudowaniach gospodarskich, zbiorach i inwentarzach, a dziś wszystko to na rękach sąsiedzkich jak z pod ziemi wyrosło.

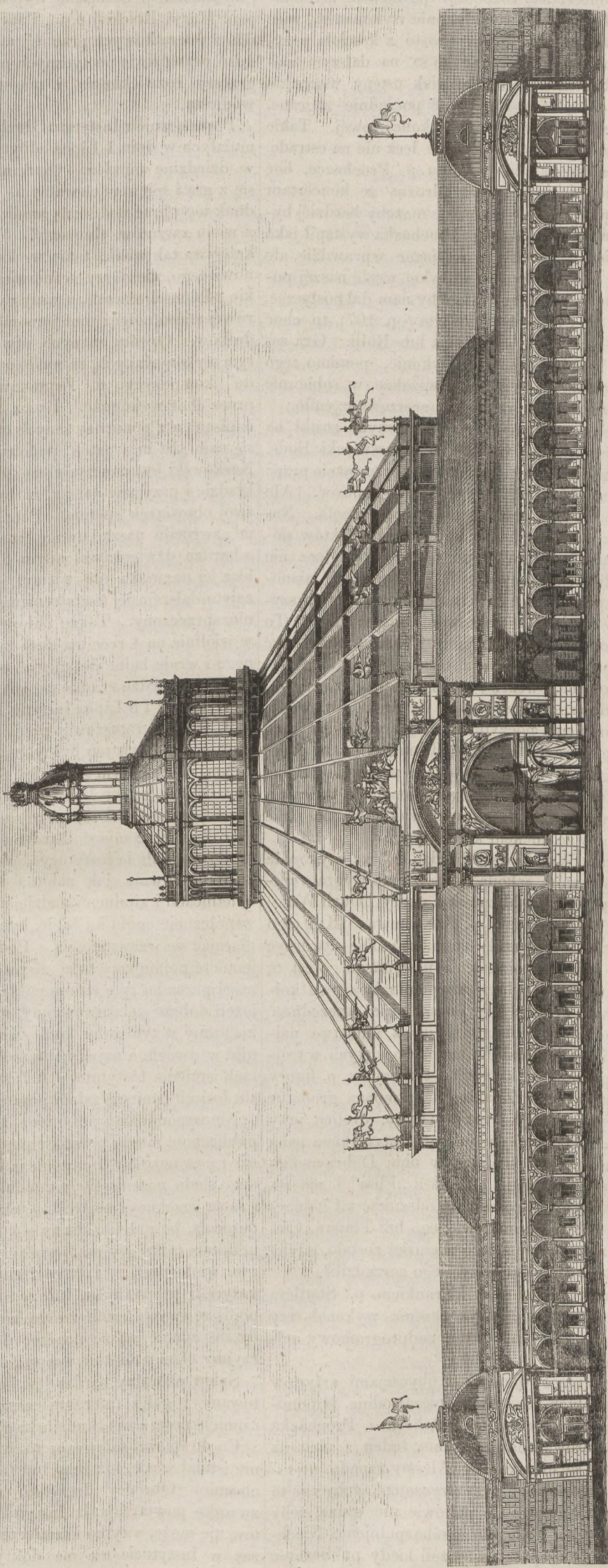
Na takich więc podstawach usnuty projekt ubezpieczenia obywateli grójeckich od gradobicia, zdaje się wytrzymywać wszelką krytykę, jako postęp ku angielskiemu *self help*. Dowodzi on i żywotności i praktyczności, dąży do wyłamania się ogółu z monopolów finansowych, drogo opłacanych; życzymy mu przeto wszelkiego powodzenia.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Koncert pana W. Prochazki. — Popis w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych. — Popis Instytutu Muzycznego. — Opera: debiut panny Szlezygierówny, debiut p. Beldowskiego, debiut pana Kazalskiego. Opera włoska w teatrze Rappo. — Bilse. — Zamiar wykonania „Sonetów Krymskich“ w Moskwie.

Dawnośmy się już bardzo rozpatrywali po horyzoncie naszym muzycznym. Nic bo też nie zaszło na nim ważnego, na szczególną uwagę zasługującego. Więcej pretensyi niż talentów, więcej blagi niż zasługi. Kiedy jednak obowiązek tego wymaga, więc szperajmy i wypatrujemy: może się też i co dobrego wyszukać uda.

Pracowity i zasłużony muzyk p. Wacław Prochazka (ojciec) urządził w dniu 26 Maja koncert w Sali Resursy Obywatelskiej. Sam koncertant brał w nim udział grając na melodykonie. By-



ROTUNDA BUDYNKU WYSTAWY WIEDEŃSKIEJ.

ło to w Niedzielę o godzinie 1 z południa. Że zaś koncert się rozpoczął poważnym „Andante” Mozarta na melodykonie wykonanym, więc słuchaczom tym, którzy prosto z kościoła przybyli mogło się wydawać, że są na dalszym ciągu nabożeństwa. Jakkolwiek ustępy wszystkie na melodykonie były dość porządnie zagrane, ale wcale nie miały cechy koncertowej. Takie rzeczy dobre są do salonu lecz nie na estradę. Nie stawimy z tego zarzutu p. Prochazce, bo przecież nie jest rzeczą zdrotną że koncertant brał udział w koncercie, ale możeby bardziej było zajmującym, gdyby p. Prochazka wystąpił jako altowista. Przecie są nieliczne wprawdzie, ale dobre kompozycje na altówkę, wcale naszej publiczności nieznane. Niechby nam dał posłyszeć, jeżeli nie „Koncert” Mozarta (op. 107), to choć którą kompozycją Berlyna lub Rolli. Gra zaś pana Prochazki na melodykonie, pomimo tego że jest dobrą, nie posiada wszakże w sobie nic nadzwyczajnego, coby ją koncertową czyniło.

Jako osobiwość wyprowadzonym został na estradę przez p. Górskiego staroswiecki Rode. Był czas kiedy ten kompozytor przeważnie przez koncertantów był używanym do popisów. Ale już epoka jego powodzenia dawno minęła. Następcy jego zagłuszyli świetnością efektów poprawność rysunku swego poprzednika, lecz nie zdołali zaćmić niepożytych zalet jego, a mianowicie prostoty i szlachetności stylu, a nadewszystko właściwości traktowania instrumentu. To też Rode, równie jak Viotti i Tartini, mogli być na czas jakiś zaniebani, lecz nigdy zapomniani nie zostaną, owszem, coraz dostojniejsze miejsce w sztuce zdobywać będą. Za prawdziwą zaletę p. Górskiemu poczynać to możemy, że dał nam na tym poranku usłyszeć „Koncert” (A miękki) Rodego. Była to największa poranka ozdoba. P. Górski go wykonał wysmienicie, a kadencją w nim własnego utworu dowiódł, że się umie przejmować duchem kompozycji.

Panna Wojakowska bardzo dobrze wykonała parę śpiewów, szkoda tylko, że nie wybrała czegoś lepszego niż Mazurek z opery „Duch Wojewody” kompozycji p. Grossmana. Kto tego mazurka nie słyszał ten może sobie utworzyć o nim pojęcie z określenia następnego. Jest to kompozycja zupełnie przypominająca owe kołdry, jakie niegdyś babki nasze przez oszczędność sporządzały. Składały się one z mnóstwa najrozmaitszych kawałków materyi pociętych w trójkąty, prostokąty, kwadraty, trapezy i t. p. figury geometryczne. Znaleźć tam można grodetur przy rypsie, kitajkę przy tyftyku, drelich przy atlasie. To samo dzieje się i z mazurkiem pana Grossmana. Słyszeliśmy w nim: Dobrzyńskiego, Nowakowskiego, ułamek z „Flisa” i nie rezygnujemy czyby się co nie dało odszukać z Chojnackiego, Eibla, Lewandowskiego lub Platera. Ciekawa rzecz, coby z tego mazurka zostało, gdyby kredytorowie eksdywizją jego zarządzili?

Kwartet męzki pod kierunkiem p. Statlera bardzo sumiennie i wykończenie wykonał trzy śpiewy, z których ostatni, nadprogramowy najpiękniej się udał.

Kogoś nieoswojonego z obyczajami artystów warszawskich zdziwiłoby niezawodnie, iż pomimo tego, że panowie: Filleborn i Prochazka (syn) figurowali na programie, żaden z nich na estradzie się nie ukazał. Aleśmy zanadto do takich niespodzianek przyzwyczajeni, żeby nas to zadziwić mogło. Ci panowie nie sądzą, żeby zobowiązanie pociągało za sobą spełnienie. Niechże potem nie narzekają, jeżeli kiedy publiczność za doznane lekceważenie równie odpłaci lekceważeniem.

Pani Rakiewiczowa z wielkim przejęciem i niekłamanym uczuciem wypowiedziała wiersz pani Maryi Ilnickiej p. t. „Paproc.” Jest to jedna z początkowych prac tej autorki i zawiera dużo prawdziwie poetycznych piękności, chociaż grzeszy rozwlekłością i miejscami bywa zbyt wodnistą.

Popis uczniów Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych w dniu 1 Lipca odbyty wkroczył także w dziedzinę muzyki. Ociemniali produkowali się z grą i śpiewem choralnym. Nie możemy jednak tego brać pod ścisłą analizę gdyż ułomność z wielu zarzutów tłumaczy. Wszakże pomimo kalectwa tak wielką tamę w kształceniu się stanowiącego, niektórzy uczniowie i uczennice wielkie zdolności okazali, a wszyscy dowiedli wzorowej staranności i umiejętności swych przewodników. Oprócz znanych utworów na popisie tym wykonywanych, zwróciło uwagę naszą „Credo” kompozycji p. Zygmunta Noskowskiego przez chór wykonane. Rzecz to bardzo dobrze napisana a z pomiędzy innych części najbardziej się nam „Et incarnatus” podobała. Właśnie pan Noskowski jest nauczycielem śpiewu w tym zakładzie i przyznać należy, iż bardzo umiejętnie swój obowiązek spełnia. Pomiedzy dyskantami zwróciła naszą uwagę mała dziewczynka o bardzo dzwicznym, miłym i czystym głosie, lecz jej nazwiska nie wiemy. Warto żeby się zajęto dalszym jej kształceniem, gdyż ma talent niezaprzeczonny. Także chłopczyk, który grał w wiolinie na 4 ręce ma dużo poczucia muzycznego i wcale ładne dotknięcie, co pomiedzy ociemniałymi bardzo rzadko się zdarza.

W dniu 2 i 5 Lipca Instytut Muzyczny urządził w sali ratuszowej popis swych uczniów i uczenie. Popis ten byłby nadzwyczaj zajmującym, nauczającym i podałby pole do obszernego studium, gdyby Instytut był tym, czém być powinien i spełniał to, czego się po nim wymaga. Zgromadzenie się bardzo licznej publiczności dowodzi ile ta instytucja ogół obchodzi. Lecz Instytut, równie jak zalotna dziewczica, czechemi obietnicami i złudnemi nadziejami podżega tylko współzucie ogółu ku sobie, bynajmniej nie wypłacając się wzajemnością. Pod wyrazem wzajemności pojmujemy tutaj ziszczenie nadziei i ufności przez lat tyle w nim pokładanych. Bo też jeżeli dobrze się zastanowimy, to popis taki jakiegośmy w tym roku byli świadkami, mógłby ująć w dwóch, a najwięcej trzech pierwszych latach istnienia Instytutu. A Instytut po dwunastu latach istnienia takim popisem nas czestuje!

Nie wspominamy już o tym że z popisu tego publiczność mogła powziąć pojęcie tylko o *śpiewie i grze* uczniów i uczenie a bynajmniej żadnego śladu uczenia się *muzyki* nie widziała. Ale i sama egzekucja na bardzo szczupłym polu się obracała, bo przekonaliśmy się, że prócz śpiewu uczą tam tylko gry na fortepianie, na skrzypcach i na wiolonczeli. Toż znaleźlibyśmy u nas nauczycieli prywatnych, którzy niemniej świetny popis ze swych uczniów urządzić by mogli. Żeby zaś zdanie nasze poprzeć dowodami, przejrzyjmy choć pobieżnie wszystkie gałęzie.

Śpiew choralny bardzo jest dobrze reprezentowany i gałęź ta czyni zaszczyt gorliwości i umiejętności pana Studzińskiego.

Co do śpiewu solowego, to wolelibyśmy żeby nie istniał wcale, niż żeby był takim, jakim jest obecnie. Obrońcy Instytutu ciągle tę samą zwrotkę powtarzają, iż Instytut stwarzać talentów nie może, a tylko kształci takie jakie są. Że zaś w Instytucie nie ma dobrych śpiewaczek i śpiewaków, to już wina kraju, że dobrych głosów nie posiada. Tak mówią ci panowie obroń-

cy, lecz to jest bezzasadne twierdzenie. Dobre głosy i talenty śpiewacze rzadko wprawdzie w Instytucie, ale się trafiają. Lecz taka nauka śpiewu, jakiej próby na popisie słyszeliśmy, zdolną jest najlepszy głos zmarnować i zniszczyć. Nikt ze śpiewaczek i ze śpiewaków nie tylko nie ma gamy wyrobionej lecz nawet głosu należyście wydobywać nie umie. Cóż więc mówić o rzeczach dalszych? Nie chcemy tu osób popisujących się wymieniać, bo na cóż mielibyśmy je nazywając kompromitować, kiedy i tak przez złe uczenie aż nadto są pokrzywdzone. Dość posłyszeć jak p. Pane swym elewkom i elewom akompaniuje, żeby się przekonać jak śpiew pojmuje, a raczej jak go nie pojmuje. Toż najbardziej nie życzliwy akompaniator nie mógłby bardziej na przekór śpiewakom akompaniować, jak to czynił p. Pane. Słyszeliśmy tam kogoś pomiędzy śpiewającymi, którego od lat kilku już popisującego się słyszymy, a który śpiewa co rok gorzej pomimo tego, że miał z natury głos wcale piękny. Słowem gałęź śpiewu solowego jest najslabszą stroną Instytutu. Cóż więc dziwnego, że opera nasza będąc teraz w tak ciężkiej potrzebie, ciągle oczekując zasilku, na Instytut się ogląda i nigdy niczego doczekać się nie może?

Dział fortepianowy najliczniej wystąpił i najpokazniej wyglądał. Mianowicie klasa pana Strobla bardzo pięknie się zaleciła. Najwięcej talentu i świadomości w grze dojrzelismy u pana Bryknera i panny Jundziłłówny. Pierwszy wykonał Rondo z „Koncertu” Kalkbrennera z wielką dokładnością, poczuciem i cieniowaniem, druga zaś wykonaniem „Preludium” i „Fugi” (E mięk.) Mendelsohna Bartholdy dowiodła nie tylko bardzo dobrze rozwiniętego mechanizmu, lecz zarazem wykazała, że się swobodnie w warstwach fugi orientuje i dokładnie jej budowę pojmuje. Gra pp. Saengerówny, Hausmanówny Witkowskiej, Pachulskiego i Szulca wymownie też słuchaczów przekonywała o wielkich zaletach nauczycielskich p. Strobla. Tylko p. Szule grając „Rapsody” Nr. 6 Liszta, pomimo tego że ogromne pokonywał trudności, nie zupełnie zadowolnili słuchaczów. Grał ją bowiem z jakimś lekceważeniem i niedbałością niedozwoloną nawet artyście a cóż dopiero uczniowi. Robimy też mu uwagę, że ustęp grany oktavami powinien być grany leciutko i piano, pan Szule zaś grał go forte z pewnym rodzajem junakieryi. Prawda że piano trudniej go zagrać niż forte, ale cóż robić. Ulżenie w takich razach nie jest dozwolonem. W ogóle klasa pana Strobla najświetniej była reprezentowana.

Z klas innych profesorów zwrócił uwagę wszystkich talent niepospolity panny Sylwii Solatinow. Jest to dziewczynka dwunastoletnia nad wiek swój równie w mechanizmie jak i w pojęciu rozwinięta. Wyznajemy iż nie zwykliśmy wielkich nadziei budować na przyszłości tak zwanych *cudownych dzieci*, ale tutaj trudno się powstrzymać od tego. W grze jej uderza przedewszystkiem świadomość tego co robi i głęboka nad wszystkiemi rozważa. Jeżeli przymioty te rzadkimi są u dojrzałych artystów, to tym bardziej zadziwiają w dwunastoletniej uczennicy. Taka wyjątkowa organizacja wymaga wielkiej baczości i umiejętności w dalszym kształceniu, gdyż najmniejsza nietrafność wskazówki, może wtrącić ten umysł badawczy w niewłaściwy a nawet zgubny kierunek. Mała Sylwia ma rękę niepomiernie małą, że nawet oktawy objąć nie może. Umiejętne studia mogą do pewnego stopnia ją rozciągnąć, ale zawsze to stanowi wielką zawadę w jej postępie. Siła uderzenia w potrzebnych razach jest u niej za-

dziwającą. Grała dwie sztuki wybornie, tylko z powodu kompozycji Mendelssohna musimy zrobić uwagę panu Janocie, jej nauczycielowi, iż bardzo jest dziwnym wykonywanie kompozycji oktawową nutami pojedynczemi. Jest to tak niewłaściwem, jak gdyby kto z duetu jeden głos publicznie zaśpiewał. Jeżeli panna Solati-głos publicznie zaśpiewał. Jeżeli panna Solati-głos publicznie zaśpiewał. Jeżeli panna Solati-głos publicznie zaśpiewał.

Wszystkich popisujących się gra nie mogła być w należytym świetle wykazana z powodu niegodziwego fortepianu, zaledwo do egzercytowania się mogącego być użytym. Dziwno że Instytut się porządnym fortepianu koncertowego zdobyć nie może. Wpadało choć pożytecznie, że jeżeli nie ma własnego. Wspomnienie zaś otrzymanego niegdys medalu bynajmniej na polepszenie głosu nędznego instrumentu wpłynąć nie może.

O klasie skrzypcowej mało co powiedzieć potrafimy, gdyż wszystkim uczniom zbyt trudne stosunkowo rzeczy wykonywać kazano. Każdy więc z nich nie miał sposobności wykazania swych stron dodatnich, gdyż wszystkie siły wyszły na pokonywanie trudności, których przewyższających. Bo czy też można od jego przewyższających. Bo czy też można od jego przewyższających. Bo czy też można od jego przewyższających.

Jedyny uczeń, na wiołonezeli się popisujący, p. Bojanowski, nietylko nie posiada żadnego tonu, ale także narażonym był na wykazywanie nieczystej intonacji, z powodu zbyt trudnej kompozycji Servais'go.

Z całego tego przeglądu pobieżnego widzimy, że popis Instytutu ogromem swych postępów i obszarem gałęzi bynajmniej słuchaczów nie zdumiał ani zgębił. Po Konserwatorium czegoś więcej się oczekuje. Wprawdzie pan Kątski w obszerniej przemowie do publiczności, w formie panegiriku napisanej, zapowiedział nam wielkie na przyszłość obietnice, ale ponieważ obietnice w programu popisu nie wchodziły, więc pozwałam sobie pokryć je milczeniem. Nie możemy jednak zamilczeć o tem, że chlubić się i wyliczać artystów, którzy Konserwatorium zwiedzić raczyli, trochę dziwnie wyglądało. Wszędzie artyści za zaszczyt sobie uważają jeźli Konserwatorium ich przyjmować raczy, nie zaś Konserwatorium się chlubi że je artyści zwiedzają. I nie Konserwatorium dba o pochwały i uznanie artystów, lecz artyści się starają o pochwałę Konserwatorium. Bardzo to mało ogół obchodzi jacy artyści Konserwatorium zwiedzają, — raczej wiedziećby się chciało jacy zeń wychodzą.

Opera nasza sztukuje się jak może: porucza role opuszczone innym artystom, urządza debiuty śpiewakom dotychczas nieznanym, chcąc się przekonać ażali się do czego nie przydadzą. Nie łatwo to idzie wprawdzie, bo śpiewacy do-brzy są za granicą poangażowani, a nowych na-próżno od tak dawna od Konserwatorium, jako wyobraźni roszadnika naszego, oczekujemy. Jeżeli więc pomysłny wiatr nie napędzi nam z morza jakiej floty ze śpiewakami, to wkrótce krucho z naszą operą będzie.

Na przedstawieniu „Fausta” w dniu 1 czerwca rolę Mefistofelesa poruczono wykonywać po raz pierwszy panu Kozieradzkiemu. Pan Kozieradz-

ki jest bardzo muzykalnym i bardzo dobrym aktorem, ale to nie sekret, że nie ma wcale głosu. A rola Mefistofelesa wymaga nietylko dobrego, ale nawet potężnego głosu. Można więc wyobrazić sobie, jak była wykonana. Śpiew o cieciu złotym i serenada (Ty co niby śpisz znękana) wydawały się jak gdyby dla siebie tylko półgłosem nucone. Że zaś orkiestra nasza ma chwalebny zwyczaj niezwracania nigdy uwagi na śpiewaków i grzmienia na ile jej sił staje, więc większą część śpiewów Mefistofelesa potrzeba było tylko w swę wyobraźni dopełniać, bo ani trochę słyhać nie było. Za to panna Wojakowska była bardzo w roli Siebla właściwą.

22 czerwca przedstawiono „Lukrecję Borgią” w teatrze letnim. Na przedstawieniu tém aż dwa debiuty na raz się odbyły. Jeden z nich wcale dobrze się powiódł. Panna Szlezygierówna występowała w roli Orsino. Głos jej, w tych ciężkich dla opery naszych czasach, bardzo się przydać może. Dużo tam jest uczucia i pojętności, tylko nie trzeba się zapędzać w skalę zbyt wysoką i robić nadpartycyowych dodatków, mających służyć niby do ozdoby, a właściwie szpecących śpiew. Nie trzeba w tym względzie naśladować naszych pierwszorzędnych śpiewaczek, bo i one grzeszą tém często. Akeya panny Szlezygierówny jest bardzo przyzwoita i zapowiada dobrą w przyszłości aktorkę. Za to pan Beldowski w roli Alfonsa wykazał do czego dojść może brak zupełny zdolności, pozbawiony umiętności a popierany zuchwalstwem. Słuchając śpiewu jego pocieszałyśmy się tylko tą nadzieją, że zapewne go już ostatni raz na scenie widzimy.

Kto przed laty znał operę warszawską za świetnych jej czasów i bywał na przedstawieniu „Marty”, którą wykonywali: Rivoli, Leśkiewiczowa, Dobrski, Troszel i Żółkowski, — temu smutno było patrzeć obecnie na przedstawienie tej opery w dniu 11 lipca. W tych samych szrankach gdzie niegdys tak zwycięzko walczyli prawdziwi rycerze sztuki, — obecnie uciekała się niedołężnie garstka ciurów, nie mogących nawet podnieść tego oręża, którym poprzednicy tak dzielnie wywijali. Jedyny wyjątek pomiędzy niemi stanowiła panna Wojakowska, która w roli „Marty” była wcale niezłą. Debiutujący w roli Lionela pan Kazalski nie jest wcale do odrzucenia w rolach drugorzędnych. Ale tylko złośliwość zaciętego wroga mogła mu doradzić wystąpienie w roli Lionela. Głos ma wprawdzie waty i szczyły, ale wcale przyjemny i na uczuciu mu nie zbywa. Lecz cóż z tego, kiedy za każdym przekroczeniem granic swęj skali narażonym bywa na łapanie tak zwanych gąsiorków czy kogutów! Czyż nie lepiej dobrze wykonywać role drugorzędne, niż pierwszorzędne parodować? O reszcie personelu, które się na zepsucie „Marty” składało, wolimy przemilczeć. Tylko pan Prochazka roli Plumketa nie zepsuł.

Cóż więc o obecnym ruchu muzycznym powiedzieć? W teatrze Rappo wędrująca kompania Włochów przy bardzo nędznych środkach wcale dobrze wykonywa włoskie opery. Nawet lepiej bez porównania niż to czynili Włosi, z wielkim kosztem w teatrze Wielkim utrzymywani. Bilse, u którego przez lat tyle nie można było wyprosić wykonywania utworów naszych kompozytorów, obecnie uległ prądowi ogółu i od czasu do czasu wykonywa parę utworów Moniuszki, a kilka razy grał bardzo ładnie uwerturę pana Żeleńskiego „w Tatrach.” Warto żeby nam dał słyszeć Moniuszki „Bajkę.”

Kiedysmy o Moniuszce wspomnieli, to musimy czytelnikom naszym udzielić wiadomość, że z Moskwy zażądano przysłania partytury „So-

netów Krymskich,” które zamierzają tam wykonać.

Fuza.

LITERATURA ZAGRANICZNA.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 61).

La fin du monde p. Étienne Baudry, préface par Ed. Laboulaye. Paris, E. Dentu, 1872.

Francya ma około piętnastu departamentów, gdzie właściciele ziemscy do tego stopnia są obciążeni swojemi posiadłościami, że nie są w stanie uprawiać takowych. Parobcy, lepiej są tam żywieni od panów. Z wielką łatwością zarabiają oni po 3 fr. dziennie, ale i za tę cenę trudno ich dostać. Kosarz najmującemu go panu nie omieszka powiedzieć: „Jeżeli się podejmę roboty, to wcale nie z potrzeby, lecz przez litosć dla siana, któreby zgniło na łąkach.” Żniwa ciągną się tam trzykroć opieszalej niż mogłyby trwać gdzie indziej. Na 100 posiadłości ziemskich sprzedaje się tam 60, i nie mogą znaleźć nabywców, nie dla tego, ażeby mało było pieniędzy, lecz dla tego, że chłop dostatecznie zaopatrzony jest ziemią.

Ci, którzy nie posiadali ziemi, cieszyli się wyobrażając sobie, że nie są zainteresowani w tej sprawie. Radosć ta trwała niedługo. Wzrastanie cen żywności przekonało, że robotnicy miejscy i urzędnicy pozostają na łasce chłopów. Hurtownik (*accapareur*) stał się przyjacielem wieśniaka. Przed laty 25 chłop zmuszony był kupować zboże, czy rok był zły czy dobry; obecnie sprzedaje a nie kupuje, z wyjątkiem lat głodowych. Dawniej pożądana była dlań taniosć, dzisiaj drożyzna. Obecnie mamy dwa ludy: jeden wiejski a drugi miejski, jeden produkujący, drugi spożywający, jeden pragnący tego czego nie życzy drugi. Interes wieśniaka wymaga, ażeby zboże, wino i mięso było jak najdroższe, ponieważ on to je produkuje. Przed rokiem 1848 cena produktów rolnych odpowiednia była urodzajowi; obecnie gdy prawo upoważnia wywóz ogółu żywności za granicę, obfitosć nie może istnieć na rynkach naszych i ceny pomimo najpiękniejszych żniw podnoszą się ustawicznie. Dla tego to wieśniak francuzki sprzyjał cesarstwu, które pozwoliło mu drogo sprzedawać swe plony. Rzeczpospolita oznaczała w marzeniu jego zniesienie podatku ziemskiego. Podatek 45-centymowy zabił Rzeczpospolitą. Cesarstwo dało mu głosowanie powszechne i dziewięć dziesiątych deputowanych w izbie, gdyż dziewięć dziesiątych Francji należy do chłopów. A jednak, dodaje autor, zdawałoby się, że monarchia dogodniejsza jest dla klasy robotników, dla których dwór jest źródłem tysiąca zysków, gdy dla chłopów przeciwnie, korzystniejsza jest Rzeczpospolita.

Następnie p. Baudry w nieublaganym pesymizmie swoim twierdzi, że demokratyczny 1789 i socyalny 1848 rok były nieczem innem, jak rewolucjami rolniczymi, z których wyłącznie skorzystali chłopi — i to w ten sposób, że wkrótce nie nie zostanie ani panom, ani robotnikom. Chłop ma wszystko, ponieważ ziemia żywi tego co ją uprawia, rękodzielnictwo zaś nie da ani jeść, ani pić robotnikowi, jeżeli nie będzie miał podostatkiem roboty. Dawniej chłop był na łasce bogacza, szlacheicy, a nawet rzemieślnika, lecz dobry robotnik nie był na łasce nieczyjjej. Dzisiaj widzimy co innego.

Ażeby robotnik miał robotę, potrzeba, ażeby ktoś dawał zamówienia. Ten ktoś znika obecnie.

Głosowanie 8 Lutego przekonało, że chłop jest panem Francji. Rola panów skończyła się. Zrujnowani, zjadają swój kapitał, gdy chłop oszczędza. Liczba milionerów jest za mała, ażeby podtrzymywać pracę rękodzielniczą... A tymczasem robotnik krzyczy przedewszystkiem na panów, zapominając o tem, że chłop staje się potężnym i bogatym jedynie przez to, że nie udaje pana, t. j. nie wprawia w ruch pracy, chyba z konieczności. Praca potrzebuje zachęty; chłop zaś pracując dla siebie, nie daje roboty innym, gdy robotnik pracuje dla innych a nie dla siebie (?). Kiedy chłop będzie panem wszystkiego, roboty ustaną,—a będzie panem niezawodnie dla tego, że będzie sprzedawał wszystko tak drogo, że w końcu inne stany nie mieć nie będą. Wszyscy zmuszeni są kupować żywność, chłop zaś nie kupuje nic prawie. Z natury jest on oszczędny, a zresztą w sferze swojej rzadko ma nawet zrzeczność wydatkowania. Praca, której się oddaje, zmusza go do trzymania się rzeczy prostych i sielskich. Moda dla niego nie istnieje, sprzęty wykintne nie mają żadnej wartości, narzędzia rolnicze wyłączają wszelki artyzm. Geniusze i sztuki piękne tracą wszelkie warunki bytu.

Nie idzie za tem, aby chłopci mieli robić wielkie fortuny. Podział kapitałów i ziemi, do których ciągnie nas duch absolutnej równości, nie sprzyja formowaniu się wielkich majątków. Dość, że chłopci posiadają wszystko.

Rewolucja 1789 roku była dokonana przez stan średni dla siebie, rewolucja 1848 była zamachem tegoż stanu przeciwko sobie. Z obu dwóch skorzystali wyłącznie chłopci. Klasa robotników nie przestaje uskarżać się na bogaczy zarówno oszczędzających jak i trwoniących, wyrzucając tym zbytek a tamtym skąpstwo. Poczekać! Gdy wszyscy będziecie zrujnowani i pochłonięci, natenczas wybije godzina równości, ale nie dla was, gdyż za mało będziecie mieli pieniędzy i ziemi, ażeby dorównać chłopom.

Co się tyczy właścicieli domów, zmniejszanie się postępowe wielkich majątków ziemskich pozbawi ich najważniejszej klasy lokatorów. Właściciele przestaną naprawiać i ozdabiać swe domy, a lokatorowie — tembardziej cudze. Rzemieślnicy tracą robotę i potrzeba będzie warsztatów narodowych. Cena mieszkań stopniowo zniżać się musi w skutek postępowego wzrastania ceny żywności.

Dziś tylko uprawiana posiadłość ma wartość; ziemia samoistnej (intrinsic) wartości nie ma. Nabywanie ziemi możliwe jest wyłącznie dla tych, którzy uprawiać ją mogą. To samo stanie się, wkrótce z własnością rękodzielniczą. Jaką wartość może mieć najpiękniejszy zakład fabryczny, skoro robotnik zażąda więcej nad zyski przedsiębiorcy? Zarówno więc hipoteka jak przemysł nie usmiechają się kapitalistom. Pozostają stowarzyszenia *spółeczne*; lecz kapitalista nie zgodzi się zostać uczniem w warsztacie *spółecznym*. Poruczytelstwa handlowe również przepadną. Obecnie na wszystkich murach czytamy „Precz z pośrednikami pomiędzy produkującym i konsumującym. Przedaż bezpośrednio w fabryce. Cena ta sama co w sklepie. Przesyłanie bezpłatne na prowincję i za granicę.“ A zresztą, kiedy materyje jedwabne, koronki i przedmioty sztuki znikną w przemyśle, kommissyonerom pozostaną tylko wyroby naśladowane lub fałszowane. Jedyna tylko droga stoi otworem przed kapitalistami: zakupowanie artykułów żywności i odprzedawanie takowych potrzebującym,—droga nie zawsze bezpieczna.

Sprawozdanie nasze musi mieć charakter afo-

rystyczny, gdyż takiem jest dzieło p. Baudrego; aforyzmy jednak następne organicznie związane są z główną myślą autora.

Nierówność fortun i stanów sprzyja podług p. Baudrego wzrostowi ludności. Bogaci pewni położenia swojego i coraz większego wzbogacenia się w przyszłości, nie obawiają się licznego potomstwa. Dla ubogiego ilość dzieci nie stanowi różnicy. Tylko ludzie korzystający z bytu dostatniego wstrzymują się od rodzinnych rozkoszy. Dla tego w Anglii ludność podwaja się w 52 lata, w Rosji w 66, we Francji w 198 lat za ledwie. Wprawdzie Ameryka odznaczająca się szybkim wzrostem ludności, posiada instytucje bardziej demokratyczne niż Francja: lecz w tej ostatniej pełnej zawiści, krytyki miłkiej, fałszywego demokratyzmu, prywacy, nędzy i głodu, mieszkańcy wstrzymują się od posilnego jadła i ojcostwa, i krzyczą na bogatych zamiast konkurowania z chłopami.

Dla robotnika stokroć wygodniej jest mieć do czynienia z panem niż z chłopem. W interesie jego leży ocalenie pana. Nie chodzi tu o zachowanie *kasty pańskiej*, lecz o to, ażeby byli ludzie, którzyby żyli po pańsku, t. j. robili dosyć wydatków, ażeby zapewnić ludności robotniczej pracę obfitą i hojnie opłacaną, ażeby wszystkie gałęzie przemysłu, zarówno zbytkowe jak inne, istnieć mogły, jak powinno być tam, gdzie każdy człowiek ma prawo do życia.

Autor przemawia do nowych panów następującymi słowy:

Pamiętajcie, panowie, że robotnicy żyją przez was wyłącznie, gdyż chłopci myślą obejść się wcale bez klasy rękodzielniczej.

Pamiętajcie, że zawód wasz pański nie jest od poczynkiem bez powołania, lecz prawdziwą funkcją społeczną, wymagającą olbrzymiej pracy; że powinniście być opatrnością robotnika.

Gdy sami byliście robotnikami, pracowaliście w ten czas jedynie, kiedy panowie dawali wam robotę.

Nie bądźcie konserwatystami ślepymi, jak dawniejsi panowie. Nie oszczędzajcie bogactw swoich; a jeżeli macie gromadzić, to gromadźcie nie pieniądze lecz przedmioty sztuki i rzemiosł.

Kupujcie wiele, ażeby przemysł mógł rozwijać się na wszystkich polach.

Ciągnijcie zyski wielkie, lecz i wydatkujcie wiele, gdyż robotnicy żyją tylko z wydatków waszych.

Panowie! jesteście koniecznym żywiołem w społeczeństwie. Pomyślcie o tem—i każda chwila wasza niech będzie poświęcona dawaniu pracy robotnikom, którzy nie mają nic do zyskania na chłopie.

W obec przypuszczalnego kataklizmu cywilizacji, autor wskazuje zaradczy środek w podatku od dochodu. Widzieliśmy już, że podług rozumowania p. Baudrego im więcej kto ma ziemi, tem jest biedniejszy. Podatek od dochodu zmniejszyłby o połowę opłaty panów, którym niesłusznie przypisują rentę, wcale nie istniejącą. Środek ten zmniejszyłby jednocześnie nienawisć ubogich ku mniemanym bogaczom. Nazwa podatku *progressywnego* przesłuszać nie powinna, bo w miarę szczupłości mienia zmniejszałaby się podatki każdego. Kontrollerowie sprawdzaliby nie wielkość posiadłości, lecz rzeczywisty dochód do opodatkowania. Natenczas przekonaby się, że niejeden pan, dla usypiania zwirowej alei, odmawia sobie wetów. Najniesłuszniejszym podatkiem jest ten, który ciąży nie na prawdziwym, lecz na przypuszczalnym dochodzie, t. j. na obliczaniu bogactwa czyjegós pod-

ług wydatków, których wymaga posiadłość. Dziś skarb najwięcej wymaga od tego, który najwięcej wydaje, pomimo to że wydatki dla wielu osób są rzeczą musu a nie dobrej woli. Natomiast ciężary własności drobnej są niemal żadne—z wielką stratą dla państwa, tem bardziej że chłop dostatecznie zaopatrzony ziemią, przestaje nabywać ją, a oszczędzone pieniądze pożyczają panom i przemysłowcom. Zbytek, który podkopał byt panów, nie skusi chłopca. Jest on nieubłagany zarówno dla siebie jak i dla innych, i pozostanie takim, gdyż doświadczenie nauczyło go, że panowie upadli dla tego, że za nadto lubili własne wygodę.

Publiczne wydatki miast mogą być także zaspakajane z podatku dochodowego. Myta są wcale niepotrzebne, tem bardziej, że idą na korzyść nie miast lecz wieśniaków, zachęcając ich do niepomiernego zwiększania ceny produktów. Kontrybucje pośrednie dotyczą najczęściej obywateli miast i robotników.

Wracając ustawicznie do myśli swjej zasadniczej, autor powtarza z energicznym naciskiem, że skutkiem ułatwienia wywozu żywności, wkrótce we Francji nie pozostanie nic do jedzenia. Od prawa 15 czerwca 1861 kraj zmuszony jest sprowadzać żywność z za granicy. Industryja zbytkowa dla chłopca jest obojętną albo niemłą.

Dowóz materyałów surowych lub nędznych sukien jest również dlań obojętny. W braku artykułów żywności, przy ustawicznym wywozie takowych, wyniknąć musi wojna domowa, która zakończy się zniszczeniem jednego ze stanów społecznych.

Najlepszą w dziele p. Baudrego jest część V krytykująca instytucje francuskie przez porównywanie ich z amerykańskimi. Treść tych ostatnich sprowadza się do obowiązujących każdego funkcji politycznych. We Francji gmina nie istnieje. Dzwonnica, merowstwo, domy, mieszkańcy egzystują; lecz gminy, administracji gminnej, radców municypalnych nie ma. Wieśniacy francuscy są bezwarunkowo nieświadomi nie tylko polityki i administracji, lecz i najelementarniejszych pojęć prawa zwyczajowego i pospolitego, t. j. pięciu czy sześciu artykułów kodeksu, których znajomość niezbędna jest dla każdego, mającego pretensję do obywatelstwa. Dodajmy, że niewiedomość ta we własnym ich przekonaniu jest uciechą, zasługą i zaszczytem.

Konieczność wychowania administracyjnego i politycznego nie jest uznawana we Francji. Chłopów obchodzą wyłącznie żniwa, czy to z Piotrem czy z Pawłem. W Stanach Zjednoczonych książka, z której dzieci uczą się zgłoskowania, jest konstytucja amerykańska. Po nauczaniu się zgłosek czytają tę samą książkę i dowiadują się co to jest rząd, co gmina, co deputowany, co prawo, co traktaty handlowe, co konsulowie i t. d. Dowiadują się jak funkcjonuje rząd, dla czego pożyteczne są prawa, uczą się posługiwać się temi prawami i korzystać z nich mądrze.

Kiedy w Ameryce polityki uczą się w szkołach we Francji wyklada się ona w kawiarniach, piwiarniach i szynkowniach.

Rady municypalne w Stanach Zjednoczonych skupiają zdolności praktyczne i specjalne. Widzimy tam autonomię gmin, odpowiedzialność urzędników, podział zajęć i opłacanie służby publicznej, stosownie do pracy dokonanej w rzeczywistości. Niepodległość gmin, pociągająca za sobą odpowiedzialność urzędników, powoduje pomimo najszańszych teoryj, mądrość w głosowaniu, kiedy we Francji głupcy najwięcej mają

Dokończenie w dodatku.

DODATEK DO „WIENCA” Nr. 62-go.

szans podobania się wyborcom. Powszechne naucezanie sprawia to, że wszystko w Ameryce robi się dobrze i prędko.

W Stanach zjednoczonych nie ma chłopów, a są rolnicy, profesorowie, kowale, pisarze, tkacze, murarze, bankierowie, żeglarze, ogrodnicy, kucepy i t. d.—i wszyscy biorą udział w Zarządzie sprawy publicznej. (d. n.)

ROTUNDA

BUDYNKU WYSTAWY WIEDŃSKIEJ.

Ta najgłówniejsza część budowli pod względem estetycznym jest istotnie ciekawym przykładem dzisiejszego stanu architektury. Widzimy w niej mieszaninę najrozmaitszych stylów, epok i materiałów budowlanych, które w technicznej pomysłowości najczęściej nakładają warunki i pęta polotowi wyobraźni twórczej.

Kamień i żelazo lane składają się na zarysy tej budowli, połączenie jednak tych materiałów nie jest tego rodzaju, aby mogło wytrzymać krytykę. Widzi się tu usiłowanie zachowania form klasycznych przy użyciu nowożytnego środka konstrukcyjnego, usiłowanie próżne i bezzasadne technicznie i estetycznie. Ztąd naprzykład piramidalna a raczej stożkowata rotunda mająca zupełnie zarysy żelaznego budowania, w następnym już piętrze traci ten charakter, najwyższa zaś latarnia ma kształt ciężkiej jak na żelazo latarni zakończającej kamienną kopułę Ś-go Piotra w Rzymie. Przy tej mieszaninie dziwniej jeszcze wyglądają w dwóch innych stylach pomyslane bramy wchodowe: środkowa wzorowana zupełnie na starożytnych rzymskich tryumfalnych bramach, boczne zaś o francuzkiem kopułowym zakończeniu nowożytnego pokroju. Zaledwie ich jest, że siłą, wielkością kształtów odpowiadają nieźle ogromowi całości kopuły, do której wcale niestosowną podstawą są wątle żelazne zapewne podcienia łączące bramy.

Usiłować jednak powinni nowożytni budowniczy, wyrazić ducha wieku w formach monumentalnych. O tyle tylko praca ich ma jakąkolwiek wartość, o ile to usiłowanie widać; na dziś więc dość, że w tej budowlu to usiłowanie, mniej lub więcej szczęśliwe, spostrzegać się daje.

ZE ŚWIATA

NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

WEZUWIUSZ I JEGO WYBUCHY.

Dokończenie. (Ob. Nr. 61).

Otoż ogłoszenie Palmieri'ego z dnia 27 Kwietnia zawiadamiało, że wulkan jeszcze wybucha, że temperatura powietrza w Obserwatorium wynosi 50 stopni ciepła Reaumure'a, że jednak lava płynie już coraz wolniej, co może być zapowiedzią ustania wybuchu. Jakoż z wulkanu wydobywały się już dnia poprzedniego masy popiołu i żużli, które przy północno-zachodnim wietrze dolatywały do leżącego o 60 kilometrów Eholi, siejąc ogólny przestrah wśród ludności, ale dla obznajmionych z objawami zjawisk wulkanicznych, popioły owe były uspokajającym znakiem. Wkrótce też strumienie lawy wstrzymały się w swym pędzie: pierwszy ze wspomnianych

już przez nas czterech strumieni nie wydostał się prawie wcale z Atrio, drugi dopłynął do pół drogi od Torre del Greco, trzeci zatrzymał się o 10 minut drogi od ementarza w Portici, czwarty zaś po zniszczeniu mnóstwa winnic, ogrodów, pól i mieszkań ludzkich na przestrzeni pomiędzy Massą a S. Sebastiano a w części i w tych dwóch miastach, zatrzymał się około Ponticelli. Grubość warstwy spadłych popiołów nie przenosiła 3 centymetrów, w miejscowościach bliższych krateru spadało też tak zwane błoto wulkaniczne. Odtąd wybuch tak wyraźnie ustawał, że już dnia 30 władze wezwały mieszkańców podnóża wulkanu by powrócili do domów. Istotny wykaz szkód sprawionych tym wybuchem nie jest jeszcze wiadomy.

Nie zapuszczając się w szczegóły świadczące o energii władz włoskich w niesieniu pomocy mieszkańcom i w organizowaniu porządku, ani nie wdając się w opisy zająć w czasie wybuchu wywołanych ciemnotą i zabobonami ludności neapolitańskiej, przechodzimy do strony najważniejszej zjawiska, do badania naukowo jego przyczyn.

Przed niewiele jeszcze laty jako jedyną przyczynę wybuchów wulkanicznych uczeni podawali płynny stan wnętrza ziemi. Wydzielające się z roztopionych mass gazy ciśnieniem swym muszą wywierać wpływ na cienką skorupę ziemi i albo nią wstrząsają albo przebijają, a same wydostają się na zewnątrz. Tym sposobem tłumaczono i trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne. Z postępowaniem jednak nauki i w miarę coraz obfitszych spostrzeżeń przekonano się, że w wybuchach niezmiernie ważną rolę gra woda; zwrócono też uwagę, że wulkany znajdują się zawsze w bliskości brzegów morskich. Powstała wskutek tego nowa teoria zjawisk wulkanicznych utrzymująca, że woda morska przenikając do wnętrza ziemi, pod wpływem wysokiej tam temperatury zamienia się na parę, przyczem następuje rozkład pewnych związków chemicznych. Skutkiem tego wywierają się obficie gazy, które wraz z roztopionymi w skutek ciepła warstwami sprawiają wszelkie zjawiska wulkaniczne.

Za tą drugą teorią przemawia bardzo wiele okoliczności. Rzeczywiście, ilość pary wodnej wyrzucanej przez wulkany jest ogromną, tak np. Etna w czasie wybuchu w roku 1865, według obliczenia francuzkiego geologa *Fouque'go*, wyrzuciła przeszło 22,000 metrów sześciennych wody, zatem ilość odpowiadająca znacznej wielkości rzece, podczas zaś ostatniego wybuchu Wezuwiusza prof. *Palmieri* z 10 kilogramów gazów wydobywających się z krateru otrzymywał 3 do 4 gramów wody słonej, zawierającej chlorek sodu. Badania lawy mogłyby najwięcej rzecz rozjaśnić, ale dotychczas nie doprowadziły one jeszcze do stanowczych wypadków. Przekonano się jednak, że w skład lawy wchodzi prawie wszystkie znane nam pierwiastki chemiczne w postaci rozmaitych związków. W lawie Wezuwiusza według pr. *Scacchi'ego*, przeważnie znajdują się: siarka, tlenek miedzi, chlorki żelaza, magnezu, potasu i sodu, te dwa ostatnie bardzo obficie, dalej niektóre sole alkaliczne jak siarczany: potażu, sodu, magnezyi, miedzi i wapna, salmiak, kwasy: siarczany, siarkowy, węglany i solny.

Lawa przedstawia nader dziwne zjawisko, którego długo nie umiano wytłumaczyć: po zastęgnięciu rozpala się na nowo, pęka, a w niektórych miejscach wydziela gazy, tworząc w miniaturze niby krater. Otoż przyczyną tego zachowania się lawy są gazy chlorku sodu i potasu.

Gazy te po zaskorupieniu wierzchniej warstwy lawy ulegają wielkiemu ciśnieniu, które z czasem zamienia się w ciepłik, roztopia na nowo skorupę już warstwę, przyczem gazy uchodzą na zewnątrz. Zjawisko to spostrzegł pierwszy *Palmieri* w r. 1855. Tłumaczenie przytoczone powyżej zdaje się być zupełnie prawdziwem, ponieważ w pracowniach chemicznych przy odpowiednich warunkach można wywołać podobne zjawiska.

Dla poparcia teorii wodnej usiłowano dowieść niepodobieństwa ogólnie po dziś dzień przypuszczanej płynności jądra kuli ziemskiej. Mianowicie uczony angielski *Thomson* na zasadzie zjawiska astronomicznego, tak zwanego kołysania się osi ziemskiej, dowodził w roku 1863, że ziemia jest kulą stałą w całej swjej massie, wielkość bowiem owego kołysania przy płynności wnętrza ziemi, byłaby znacznie większa niż jest rzeczywistość. Francuzki astronom *Delaunay* rachunkiem i doświadczeniem zbił jednak przypuszczenia *Thomsona*, dowiódłszy, że szybsze kołysanie osi ziemi tylko w razie szybszego jej obrotu dziennego byłoby koniecznym następstwem płynnego stanu wnętrza ziemi.

Inny zarzut istnienia tego stanu stawiano ten, iż słońce i księżyc wywierałyby wówczas na ocean ognisty w łonie ziemi ten sam wpływ, jaki wywierają na oceany wodne, i że skutkiem tego po każdej pełni lub nowiu następowałby w stałych odstępach czasu rodzaj przypływu i odpływu roztopionej masy, a z nimi trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne. Zarzut ten w ostatnich czasach wyzyskał na poparcie właśnie przypuszczenia o płynności wnętrza ziemi prof. *Perrey z Dijon*. Utrzymuje on, że przypływy i odpływy roztopionego oceanu wewnątrz ziemi istnieją rzeczywiście, i że liczba wybuchów i trzęsień większą jest w czasie pełni lub nowiu księżycy, niż w czasie dwóch innych kwadr. Szczególniej widoczną ma być owa spóczesność przy rozdzielaniu zjawisk wulkanicznych na każdy dzień lunacyi oddzielnie. Owe fale podziemne trafiać mogą na znaczne wypukłości skorupy ziemskiej odwrócone ku środkowi kuli, i o nie się rozbiwszy zmieniać kierunek, dla tego też teorii *Perrey'a* nie można poddać ścisłemu rachunkowi. Niemniej w roku 1855 *Secchi* i *Palmieri* zauważyli większy przypływ lawy dwa razy dziennie, prawie co 12 godzin ze spóźnieniem około jednej godziny z dnia na dzień.

Bądź co bądź wszystkie rzeczywiste przyczyny zjawisk wulkanicznych nie są jeszcze poznane i nie prędko zapewne wejdą w zakres rzeczy zbadanych, bardzo niewłaściwie zatem postępują autorowie, którzy z zupełną stanowczością przemawiają za tą lub ową teorią, ponieważ przedewszystkiem brak nam jest odpowiedniej liczby spostrzeżeń i to ścisłych.

Dotychczasowe obserwacje nie wiele zdobyły materiału. Spóczesność trzęsień w kilku bardzo odległych miejscach kuli ziemskiej, zmiany zachodzące w składzie wody studzien artezyjskich podczas odległych bardzo zjawisk wulkanicznych, (np. w *Passy* pod Paryżem podczas trzęsień ziemi w Afryce), wreszcie ustawianie trzęsień wkrótce po otworzeniu się krateru, są bardzo ważnymi wskazówkami, ale nie usuwają jeszcze wątpliwości.

W ogóle zjawiska wulkaniczne były dotychczas więcej podziwiane niż badane i w ostatnich dopiero czasach zabrano się do robienia ścisłych nad nimi spostrzeżeń naukowych w umyśle na

ten cel wystawionem obserwatorium meteorologicznem na pochyłości Wezuwiusza.

Obserwatorium to rozpoczął budować w roku 1841 budowniczy Fazzini w miejscu wzniesionem na 644 metrów po nad poziom morza. Okoliczność ta, oraz wiele innych, utrudniała niezmiernie postęp robót, ukończono je wszakże w roku 1845. Okazały gmach zbudowany w stylu grecko-rzymskim mieści w sobie oprócz mieszkania dla dyrektora i jego pomocnika, gabinety: fizyczny i mineralogiczny, pracownię chemiczną, dwa gabinety do spostrzeżeń optycznych i termicznych, dwa tarasy na szczycie budynku do obserwacji meteorologicznych i innych, wreszcie wieżę do obserwowania elektryczności atmosferycznej. W wieży tej ustawiony też jest przyrząd do obserwowania wstrząśnień ziemi, tak zwany *Sismograf*, wynaleziony przez Palmieri'ego. Obserwatorium rozpoczęło swą działalność dopiero w kilka lat po wykończeniu budowy mianowicie w roku 1852, a pierwszy wybuch obserwowano tu w roku 1855. Obserwatorium dzięki energii i poświęceniu Palmieri'ego nie tylko naukowe przynosi korzyści, ale służy zarazem interesom miejscowej ludności, ostrzegając ją w razie grożącego wybuchu. Do ostrzeżeń owych służy właśnie wspomniany już Sismograf wskazujący najmniejsze, inaczej niedostrzegalne wstrząśnienia ziemi.

Ponieważ wstrząśnienia mogą być pionowe lub poziome sismograf powinien zatem bez pomocy i ciągłego nadzoru obserwatora zaznaczyć jak najdokładniej, chwilę w której nastąpił początek pierwszego wstrząśnienia, zapisać trwanie każdego wstrząśnienia i czas upłyniony między jednym a drugim, wreszcie oznaczyć siłę wstrząśnienia tak pionowego jak i poziomego. Motorem zapisującym te wszystkie spostrzeżenia jest prąd elektryczny, który za lada drgnięciem kolumn marmurowych głęboko wkopanych w ziemię, jeden zegar zatrzymuje, a drugi jednocześnie puszcza w ruch.

Do obserwacji wstrząśnień poziomych służą 4 podwójne rurki w kształcie głoski U, ale której jedno ramie jest wąskie a długie, drugie zaś krótkie a grube (przyrząd M.). Rurki te wypełnione rtęcią ustawione są na jednej z kolumn marmurowych w czterech głównych kierunkach. Jeśli następuje poziome wstrząśnienie skorupy ziemskiej, wówczas rtęć przelewa się z jednej grubszej rurki do cienkiej, podnosząc w tej ostatniej maleńki pływak, który z kolei za pomocą nitki obraca nad sobą błocek ze skazówką i znaczy tym sposobem stopień wstrząśnienia. W miarę kierunku wstrząśnienia obróci się błocek odpowiadający rurce zwróconej ku pewnej stronie świata. W razie odchylenia dwóch naraz blocek, na przykład odpowiadających rurkom północnej i zachodniej, widocznem będzie, że fala szła od północy zachodu. Najmniejsze przelanie się rtęci w rurkach sprawia zarazem ustalenie prądu elektrycznego, który zatrzymuje zegar A, puszczając w ruch zegar B, oraz przyrząd do notowania wstrząśnień. Ten ostatni jest podobny do zwykłego telegrafu Morsego. Na tasimiece przesuwającej się po bločku n. (przyrząd Q) drgający sztyfcik wytłacza kreski i kropki w miarę czasu przez jaki trwa wstrząśnienie.

Z porównania tego paska z zegarem idącym i stojącym odczytuje się czas i długość każdego wstrząśnienia oraz przerwy między dwoma po sobie następującymi wstrząśnieniami. Do wstrząśnień ponownych służy przyrząd R. w którym sprężyny zakończone maleńkimi magnesami, drgając z góry na dół, przyciągają większą lub mniejszą ilość opilek a nadto odchylają odpowie-

dnie skazówki. Do zapisywania czasu trwania i odstępów między wstrząśnieniami służy opisany tylko co przyrząd Q z bloczkiem n.

Opis nasz jest bardzo pobieżny, zdaje się nam jednak, że dla czytelników nie wtajemniczonych w budowę przyrządów fizycznych, daje on ogólne pojęcie o zasadzie, na jakiej zbudowano sismograf, dla obznajmionych zaś z tego rodzaju przyrządami dostatecznem objaśnieniem będzie załączony rysunek.

Prace Palmieri'ego wykonane dotychczas w Obserwatorium Wezuwiańskiem zbogaciły już naukę w wiele szacownych odkryć i zapewniły temu uczonemu znakomitą sławę. W zakresie zjawisk wulkanicznych Palmieri jest pierwszą i jedyną do dziś dnia powagą, on bowiem pierwszy przystąpił do ścisłych w tej mierze doświadczeń. Ludność prowincji neapolitańskich ceni zaś w nim przedewszystkiem poświęcenie, jakiego dał dowody w czasie tegorocznego wybuchu nieopuszczając swego posterunku z narażeniem życia.

Ludwik Palmieri urodził się dnia 22 Kwietnia 1807 roku we wsi *Jaiichio* w prowincji *Terra di Lauro*. Nauki pobierał w *Cajazzo*. Po ukończeniu szkół utrzymywał się z dawania lekcji fizyki, które mu wkrótce zjednały takie wzięcie, że mianowano go profesorem tej nauki w królewskiej Akademii marynarki w Neapolu. Ztąd w roku 1847 przeszedł na profesora uniwersytetu neapolitańskiego. W tym czasie zbudował nowy ulepszony elektrometr, zaprowadzony dziś po wielu obserwatoriach meteorologicznych. Wynalazek ten otworzył Palmieremu podwoje Akademii uczonych w Neapolu. Wreszcie w r. 1852 mianowano go Dyrektorem obserwatorium wezuwiańskiego.

Teraz dopiero właściwie znalazł się nasz uczoney w swoim żywiole i zabrał się do ulubionej pracy z całą usilnością. Spostrzegłszy że wstrząśnienia rozpoczynają się prawie nieznanie i stopniowo dopiero stają się silniejszymi, wpadł na myśl zbudowania narzędzia któreby wykrywało wszelkie najmniejsze ruchy skorupy ziemskiej, i tym sposobem mogło zapowiadać zbliżanie się znaczniejszych wstrząśnień. Doświadczenia odbyte z pierwotnie pomyślanym sismografem przekonały, że narzędzie tego rodzaju może oddać bardzo ważne usługi. Jakoż po wprowadzeniu pewnych ulepszeń opisany przez nas sismograf działa w Obserwatorium Wezuwiańskiem z pożytkiem dla nauki i dla bezpieczeństwa mieszkańców podnóża wulkanu.

Geologia zawdzięcza tedy Palmieri'emu wprowadzenie badania zjawisk wulkanicznych na właściwą drogę. Badania te mogą przynieść znakomite korzyści dla nauki, do zupełnego jednakże ich powodzenia niezbędnem jest urządzenie podobnych obserwatoriów na jak największej liczbie wulkanów a nawet i ich okolicach. Wtedy dopiero nauka zyska pewne dane, za pomocą których będzie mogła zdobyć jedną z najciekawszych tajemnic przyrody. F. F.

KRONIKA.

Przezroczysty lazur rozciągnięty dzień i noc nad Warszawą już od paru tygodni, odbija swoją pogodę i w sercach mieszkańców nadwiślańskiego grodu. Krew swobodnie i prawidłowo krąży po wszystkich częściach organizmu społecznego... serce w którym zjednoczone usiłowania Melpomen i Talij *in partibus*, utrzymują zba-

wienną równowagę śmiechu i łez dramatycznych, bije normalną liczbę razy na minutę... Słowem *tout est pour le mieux dans le meilleurs des mondes possible*... Jeden tylko Bilse nie podziela, jak się zdaje tego aforyzmu optymistycznego. Studyjąc zdrowie owego organizmu warszawskiego, dostrzegł on zamąty przypływ krwi do jednej z kończyn, — mianowicie do Doliny Szwajcarskiej, a brak ten cyrkulacji, według niego jest następstwem hipertrofii w okolicach Tivoli i innych centrów artystycznych. Spierać cię o to z szanownym dyrektorem ozdobionym tytułami orderami nie myślę — przypuszczam nawet że w pewnej części ma słusność gdy odgraża się iż Warszawę, wychowaną swęj batuty, zostawi na lat kilka na pastwę jej barbarzyńskich instynktów łagodzonych dotychczas za jego sprawą czarami muzyki po 25 kop. od osoby!... Nie wiem tylko czy p. Bilse ma słusność, gniewając się na teatralne ogródkowe. Sam artysta, powinien rozumieć, że muzy wszystkie są siostrami, i pamiętać że w moralnych podbojach z 2ch ostatnich lat, ci sami Niemcy, którzy przy dźwiękach muzyki szli do ataku, w wolnych chwilach od puszczenia bomb naftowych, czytali Eschylosa. Jedyna uzasadniona pretensja którą mógłby żywić Orfeusz z nad Sprei, skierowaną być winna przeciwko Salamońskiemu, który najlepszy dał dowód jak jest ogłoco-nym z wszelkiego poczucia poezji, — kiedy posunął się aż do wytoczenia Kuryerowi Warszawskiemu procesu za trzy strofki wierszy! A jednak warszawianie zapelniali co wieczór miejsca w cyrku, a szuflady w kasie p. Salamońskiego, który wyjechał z Warszawy unosząc zapewne to przekonanie, że opuszcza najartystyczniejsze miasto w Europie!

Badając głębiej ten symptomat, utwierdzam się jeszcze bardziej w mojem, dawno już uczynionem spostrzeżeniu, że nie ma może drugiego kraju, któremu by tak łatwo imponowało wszystko cokolwiek jest zręcznością. Czy zastanawiałeś się kiedy czytelniku nad tym dziwnym faktem, że Warszawa utrzymywała nieraz w swoich murach po dwóch, czasem po trzech tak zwanych magików, sztukmistrzów, kuglarzy, że jej jakiś czas spać nie dawał *vice hrabia* (!) de Caston ze swoim kursem historii i literatury powszechnej przeplatany rumelpikiętą i wolantami!... Objawy te mają swoją stronę poważniejszą, aniżeli by z pozoru można było przypuszczać... To odwoływanie się do jakiejś siły nieznannej, rozwiązującej trudności bez naszego udziału, to upodobanie w zaskoczeniu nas przez coś niespodzianego, czegośmy sami nie przygotowali, to oddawanie się na parę godzin wieczornych rzekomym jakimś potęgom, łączącym się jakoby tajemniczymi niemi z nieodgadnionymi problematami ducha ludzkiego, nareszcie to domaganie się interwencji ślepego trafu w prawidłowych czynnościach naszego życia w nadziei że jedno dmuchnięcie wystarczy do wywołania pożą-danych nam skutków, — wszystko to cechuje społeczność żyjącą z dziś na jutro, społeczność która terażniejszość uważa za kabalarkę odkrywającą przyszłość niezapracowaną, społeczność oczekującą z założonemi rękami aż los kuglarz zeska-motuje z drogi trudności. Dla tego to może publiczności warszawskiej zaimponował tak pan Salamoński, który wołał przez przeszkody skakać dając nam wszystkim lekcję filozofii społecznej, a naszym wysiłkowcom naukę, że nigdy z akrobatami bez szwanku współubiegać się niemoga.

Zresztą powracając do skarg Bilsego, od których przedzielił was czytelnicy wybrzyk spekulacji

cyi socjologicznej niepoprawnego kronikarza, stracą one zapewne o tyle na doniosłości, o ile przywórcą im chórem te same ogródki które były pierwszą ich przyczyną a stanie się to w skutek powrotu wszystkich książąt naszego stałego repertuaru: pani Modrzejewskiej p. p. Królikowskiego i Rapackiego. Rekonwalescent nawet, p. Tatarkiewicz którego nie tak prędko spodziewaliśmy się ujrzeć na scenie, ma podobno w połowie sierpnia dowieść publiczności że czasem powraca się z tamtego świata—słowem siły się gromadzą, a zobaczycie czytelnicy, ile to nowości posypie się z rękawa reżyserskiego. Pierwszym utworem większych rozmiarów ma być „Hans Mathis” Erekmana-Chatrjana. Nie przesądzać wartości tego dramatu, którego ocenienie należy do specjalnego sprawozdawcy „Wienieca”, pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę reżyserji że sztuka Chatrjana, ma ważny jeden szkolek, o który rozbić się może najznakomitsza rolę. Szkopulem tym jest wystawa. Nie o koszt tu chodzi, ani o jakąś wspaniałość szczególną,—ale o pomysłowość maszynisty i dekoratora którzy o najdramatyczniejszy moment, sen Mathisa, by najprzód uświadomić widzom w mglistym obrazie zbrodni bohatera dramatu, potrafili urządzić tak iżby złudzenie zmysłowe wsparło talent artysty. Zadanie to nie małe, sądzą jednak że przy staranności da się na korzyść sztuki rozwiązać. Drugą z kolei nowością ma być zapowiedziana oddawna „Księżna Jerzowa” Dumasa syna. Po tragicznych wyrzutach sumienia kłócących sen oberżysty alzackiego,—autor „Damy kameliowej”,—„ów spowiednik publiczności”, jak się sam nazwał w słynnym swoim liście,—zapozna nas z buduarowemi wyrzutami sumienia pachnącego Es-bouquetem lub Dżokiej-klubem,—odkryje nam *les secrets de l'oreiller* alkowy, zmusi do głośniejszej spowiedzi wiarołomstwo, bo taka jest specjalność tego autora moralnego par excellence.

Znana jest powszechnie odpowiedź twórcy „Pół świata” dana nieśmiertelnemu autorowi „Muskietierów” który dowiadując się ciągle o dość burzliwym życiu syna, rzekł do niego z tą epikurejską łagodnością cechującą każde jego odezwanie.

— Aleksandrze,—czasby już pomyśleć o żonie.

— O czyj? spytał nie tracąc przytomności przyszedł spowiednik Francji.

Zdawałoby się że w tej odpowiedzi, a raczej w tém zapytaniu zamyka się całe *credo* młodego Dumasa. Tak jednak nie jest. Pisarz ten rozporządzający co najmniej taką dozą paradoksów jak talentu, ożenił się, ma dzieci jak pierwszy lepszy mieszczanin,—ale nigdy nie przestał zajmować się cudzemi żonami... na scenie. Szuka on początku nerwu wiarołomstwa, jak anatom punktu wyjścia nerwu sympatycznego. Nie spodziewajcie się też poezji w jego kobiecie... otacza ją raczej atmosfera kliniki i prosektoryum anatomicznego. W ostatnich czasach studia te wydały nowy twór—w którym z gorączkową ciękawością rozczytuje się cały Paryż. Dumas wynalazł *mężczyźno-kobietę* (l'homme-femme). Krając i tnąc swoim więcej doktrynerskim aniżeli analitycznym skalpelem, Dumas tak mniej więcej odzywa się do czytelnika: Masz tu bratku trzy preparaty anatomiczne na tym oto stole prosektorskim: jeden jest *kobietą ze świątyni*, drugi *kobietą z ulicy* trzeci *hetera* ożeni się z jednym z nich... różnicy anatomicznej żadnej—wszystko jest sprawą temperamentu. Ale ożeni się koniecznie, bo widzisz rodzina to podstawa społeczeństwa oblicz się tylko z własnym temperamentem. Przypadkiem możesz trafić na *kobietę*

ze świątyni a wtedy we dwoje stanowić będziecie *mężczyźno-kobietę* doskonale uzmysłowienie małżeństwa. Zaostrzywszy tak ciekawość twoją czytelniku, zostawiam zaspokojenie jej koledze recenzentowi który pod właściwą rubryką—zaznamy cię z tym okazem moralności starannie w spirytusie zakonserwowanym.

A kiedy już mówimy o moralności w literaturze, nie od rzeczy może będzie poprosić redakcję „Opiekuna Domowego” o małe objaśnienie. W Nr. 29 tego pisma zamieszczona jest w „Śladach życia” krótka ocena poematu pana Leonarda Sowińskiego p. n. „Graf Jarosz” (Wieniec Nr. 53). Przytoczywszy pobieżnie treść utworu, autor oceny odzywa się w następujące słowa: „Już po raz drugi (por. *Fragment*) p. S. staje się poetą krwi, ukropem bo nie lawą płynącą w żyłach bohaterów, o których nie można powiedzieć żeby byli wielkimi, kiedy ich sam autor określa w słowach nie zbyt pochlebnych.

Szalony samolubnie śnił
O szczęściu bez ofiary i trudu
Lecz mary te i żądze w łonie krył
I czekał gniewnie śmierci albo ładu.

„Oddajemy należny hołd talentowi p. S., nie możemy atoli nie zrobić zapytania; jaki jest cel takiego lubowania się w scenach w których namiętność zwierzęca może się czytelnikowi przedstawić w blaskach ideału? Etycznie biorąc jest to wszczepianie jadu; a czysto poetycznie,—jest to powrót do barw *wylacznie jaskrawych*.”

Odpowiedź na to zapytanie Redakcyi Opiekuna możemy dać tylko w kształcie zapytania poprzedzonego również cytata. W Nr. 28 Opiekun drukował „Żonę Putifara” z Melodyj Biblijnych Ujejskiego. Przytaczamy ważniejsze wyjątki.

Hebrajczyku harde dziecię
Zbliż się ku mnie zbliż,
Patrz, na twoje ja przybycie
Okwieciłam łóż skrycie
Rozścieliłam w szerz.
Cisza w koło, na me łono
Białe czoło złóż.
Różę wonią, lampy płoną
Nie lekaj się pod zasłoną
Ni blasku ni róż.
Wyglądź wyglądz gniewne lice
Schyl się chłopcze schyl
Ja rozkoszniej cię pochwyć
Niżli ślubną swą dziewicę
Co rok chwyta Nil.

Głazem stoisz niewdzięczniku
Jak w grobowym śnie
Przystap bliżej Hebrajczyku,
Zgryz mi nitkę w naszyjniku
Perły gniotą mnie.

Nie ujmując nie znakomitemu talentowi poety, i zgodziwszy się nawet na to że w żyłach żony Putifara krew płynie lawą nie ukropem, wszak wolno zapytać czy ta różnica w konsystencji i ciepliku krwi, niezbyt dla nas zrozumiała, czyni bohaterkę pieśni wielką i czy namiętność w której kreśleniu lubuje się również poeta, mniej jest zwierzęcą i nie uidealizowaną? Etycznie biorąc co przemówiło za umieszczeniem w szpaltach Opiekuna Putifary, a co potępia „Grafa Jarosza”? Poetycznie zaś sądząc—zapytujemy czy barwy pieśni Ujejskiego mogą być za blade uważane?

Cenimy sąd Opiekuna, daliśmy tego niejednokrotnie dowody,—ale pragnęlibyśmy aby sąd ten mógł pozostać zawsze jednakowo bezstronnym bez względu na to czy o własnych czy o cudzych sprawach wyrok wydaje.

Czy uwierzylibyście czytelnicy, że pomimo owej niezachwianej pogody napelniającej warszawian błogiem usposobieniem i zadowoleniem samych z siebie, miasto nasze miało swoją burzę w szklance wody, swoją *agitację wyznaniową*, że się tak wyrażę stylem przeglądów politycznych? Chmury zebrały się na prowincyi i wystrzeliły po przewodniku korespondencyi w Gazecie Polskiej w formie kwestyi żydowskiej. Warszawa się zdumiała... zdawało jej się bowiem że kwestya owa przestała być kwestyą i że ją oddawna choć wolno rozwiązuje sama natura stosunków społecznych w kraju. Tymczasem posypały się repliki, dupliki z barbarzyńskimi nazwami odgłosów żydofilskich i antyżydofilskich; Izraelita podał „jedyne sposoby rozstrzygnięcia kwestyi żydowskiej”, Niwa rozwodziła się nad „bogatą mieszczaństwem” w Warszawie; artysta, literat i mówca krzyknął aż w Mokotowie do całej rodziny żydowskiej: „*Jerozolimo w nogi bo biję*”, p. Semadini uznał za stosowne odmówić w swęj cukierni kawy żydowi, który według jego uznania *nieprzyzwoicie* był ubrany, policja zaczęła znów w inny sposób kontrolować ową przyzwoitość, a Debora przechadzała się ze swemi przekleństwami po wszystkich scenach w Warszawie! Najkomiczniejsze epizody tej nieloicznej agitacji, są jednocześnie najsmutniejszymi, bo świadczą na jak wątpliwych podstawach równouprawnienie żydów dokonane na gruncie prawnym, spoczywa w opinii publicznej. Co to jest na przykład owa przyzwoitość ubioru? za odpowiedź niech posłuży następująca krótka scena przy bramie ogrodu Saskiego. Młody żyd bez brody w dłuższym nieco paltocie wstrzymany jest u wejścia słowami:

— Nie wolno.

Żyd z zimną krwią rozdzielając obiema rękami z tyłu poły od surduta odpowiada lakonicznie — Rozcięty.

Ten gest energiczny, ten wyraz zwięzły, otwierają mu bramy ogrodu.

Pytanie teraz czy ten rozporok wystarczy panu Semadiniemu, który znów wolałby może surdut obcięty jak rozcięty—pytanie dla czego te wszystkie względy ważne na siedm dni w tygodniu, tracą wagę w Sobotę? Czyż niesamowola jedynie odgrywa tu rolę, jęcząc stosunki, zamiast rozumnej opinii któraby je regulowała?

Objawy powyższe które tak tłumnie nagromadziły się w dość krótkim stosunkowo czasie, nie są wypływem przypadku ani zwykłym zbiegiem okoliczności. Każda kwestya która nie przeszła jeszcze w krew i szpik społeczności, ma takie przypływy i odpływy opinii. Jak postępować ażeby ta opinia ułożyła się spokojnie w swém łożysku? Według Izraelity ciężar tej pracy spoczywać powinien wyłącznie na chrześcianach... jabym sądził, że bezusiłowania obustronnego, kwestya żydowska nigdy rozwiązana nie będzie. Duma, próżność, arrogancja, w pewnej warstwie społeczności żydowskiej utrudniają stosunki obu wyznań. Przytoczyliśmy wykroczenia chrześcian,—słuszność nakazuje nam zacytować słowa pewnej znakomitości żydowskiej tu-tejszej, która odezwiała się, że „polaków do siebie do obowiązku przyjmować nie lubi, bo to naród niepraktyczny.” Jeżeli potentat ów, za dowód niepraktyczności polaków bierze wyniesienie własne do zajmowanego obecnie stanowiska, to przeczyć mu ani myślę.

Dobrej woli więcej i wyrozumienia z obu stron a kwestya się rozwiąże samą siłą rzeczy bez gazetarskiej polemiki, opartej na zastarzanych i odgrzebywanych z pod popiołu nienawiści argumentach.

Są to jednak tylko paliatywa dla dzisiejszego pokolenia które wyrastało już w tej duszącej atmosferze zacofanych antagonizmów. Radykalnym środkiem byłoby kierowanie z obu stron wychowania tak, ażeby chrześcijańskie i żydowskie dzieci pojmowały, że urodzenie i wzrośnięcie w jednym kraju jest węzłem bratnim, którego rozrywać nie może taki lub inny sposób zanoszenia modłów do Boga.

Ten zarzut niepraktyczności naszej staje się jednak coraz więcej problematycznym. Na za pytanie postawione przez „Opiekun Domowy” w artykule wstępnym „Głowa czy serce?” (Nr. 29), — wszyscy bez wahania krzyczą „głowa” jakkolwiek autor artykułu zanie i uczciwie określił rolę serca w robocie społecznej. Utrzymuje on, że między uczuciem a rozumem istnieje sztuczny tylko antagonizm wytworzony przez sentymentalną frazeologię. Młodzi ludzie nie chcą jednak uczucia choćby najdyskretniej nawet odmierzonego — mięsza im ono kombinacje rozumowe, wikła najprostsze sprawy żywota. Te koralowe usta nad któremi wysypuje się zaledwie wąsik, pytają się z zimną krwią: co kosztuje wdzięczność? — proszę o porecy współczucia za 25 rubli. Nie wierzyć? — czytając Kuriera Warszawskiego Nr. 158, a dowiecie się że pewien młody człowiek w płóciennym nowym kapeluszu i czarnym paltocie, upadłszy zemdlny w Saskim ogrodzie, zapewne wskutek jakichś cierpień moralnych, gdyż na chwilę przed omdleniem, miał oczy łez pełne, — został przy pomocy przechodzących przeniesiony do mieszkania damy która przypadkowo obecną była tej scenie. Przywołany lekarz długo nie mógł docucić chorego a przywróciwszy mu przytomność zawiadomił go że wdzięczność za tę przysługę należy się pani X. właścicielce owego mieszkania. Młody człowiek odrzekł ponurym głosem:

— Chcę być sam.

Wszyscy się oddalili, — a gdy po godzinie gospodynę powróciła — pokój był pusty, — na stole leżał papierek 25-rublowy i bilet z napisem *w następstwie wdzięczności*.

Czy głowa czy serce czytelniku?

Na to zapytanie charakterystyczną odpowiedź dał mi ów pessimista, którego aforyzmy nieraz w ciągu gawęd moich komunikowałem ci czytelniku.

— Więc wątpisz jeszcze mówił do mnie że to popęd serdeczny? — Gdyby tak nie było, młodzieńcze nie powinien był zostawiać pieniędzy, ale owszem wziąć jeszcze coś z pokoju!

— Ależ na miłość Boga, mając do wyboru między temi dwoma czynnikami: głową i sercem, który wybrać?... spytałem ciekawy rozwiązania kwestyi.

— Żołądek odparł z flegmą mizantrop.

Jakkolwiek szorstką może się wam wydać odpowiedź mego znajomego, przyznajcie jednak czytelnicy że jest ona w związku z najnowszą filozofią historyi. Według tej nauki opartej na ścisłym badaniu, dobre trawienie jest główną przyczyną szczęścia i wielkości narodów, —

a miarą ich cywilizacji jest ilość wypotrzebowanego oleju rycynowego i wody karlsbadzkiej. Czy nie z tego powodu wywiązała się niedawno ciekawa polemika między połączonemi poraz pierwszy we wspólnym gniewie Instytutami wód mineralnych w ogrodach Saskim i Krasinich przeciwko trzeciemu tego rodzaju zakładowi, otworzonemu przez p. Szmidta przy jego aptece? Argumentów przytacza tu nie będę, bo zresztą czytelnik nie dowie się z nich które wody są lepsze, lecz pozna zato dokładnie topograficzne umieszczenie lokalów instytutowych, — chcę tylko zaznaczyć fakt pouczający że żołądki nasze stają się coraz lepiej zabezpieczonemi od niemocy i wszelkich antycywilizacyjnych symptomatów. Przyczyni się również silnie do tego bezpieczeństwa, pojawienie się nowego pisma „Medycyna” które ma wychodzić pod redakcją bardzo zdolnego lekarza p. Karola Benni, i o ile wnosić można z programu nader obszernego i wszechstronnego pomnoży liczbę poważnych naukowych publikacji

Bodajto prowineya! — obywa się ona doskonale bez wszelkich instytutów wód mineralnych, — nie myśli o naukowych wydawnictwach, a poprzestaje za to na... jasnowidzącej, która setki lekarstw zapisuje w śnie mniej więcej magnetycznym. Cudowną tą lekarką jest według doniesień Kaliszanina 13-letnia Maryanna Rydzynska we wsi Sobótce w Łeczyckim. Miła i nad wiek rozwinięta istotka, w pośród konwulsyj, nie do życzenia pod względem efektu niepozostawiających, odbywa mnóstwo konsultacji i zadziwia okolicznych mieszkańców swoim jasnowidzeniem. Pod sekretem powiem ci czytelniku, że owa Sybilla łeczycka kategorycznie miała potwierdzić przepowiednię zbliżającego się końca świata. Jako jeden z ważniejszych znaków nieuniknionej katastrofy, przytoczyła podobno fakt że „Przegląd Tygodniowy” pisze już *harmonię* przez *ch*, — dowód, że harmonia na seryo jest zagrożoną (patrz Nr. 28 str. 218, szpalta druga wiersz czwarty od góry.) Jasnowidząca zresztą powołuje się na powagi i odsyła ciekawych do słów araba Szeika Mahomeda Salicha służebnego przy grobie błogosławionego proroka Mahometa w Medynie. — Szeikowi prorok objawił się w wielkiej postaci i kazał zawiadomić wyznawców iż jest bardzo niezadowolniony z ich życia, gdyż pogrążeni są w strasznych grzechach i ujarzmieni przez złego ducha!

Dziwnem wam się wyda może to powoływanie się Sobótki na Medynę, — ale niezapominajcie, że wizyc ekstazy są *bezwyznaniowe*, że takim był początek i takim być musi koniec świata.

Czy wiesz czytelniku, że w obec tego wszystkiego mam ochotę zakończyć moją pogawędkę, jak to uczynił kronikarz Tygodnika Ilustrowanego... pożegnaniem... Kto wie co się stać może 12 Sierpnia? Ja wprawdzie nie mam żadnego wstępu do liczby 13, — ale obojętności mojej nie podzieli widocznie kula ziemiska, kiedy przed tym fatalnym terminem, chce się usunąć od udziału w koncercie światów, nie czekając nawet 19 lutego, — jubileuszu Kopernika który przed 400

laty pierwszy raz objął dyrekcyę nad tą orkiestrą wszechświata.

Trudno zaprzeczyć że zbiegło się tą razą wiele tajemniczych przyczyn i najróżniejszych trafów które ową katastrofę za dziesięć dni wywołać mogą.

Kabalistyczne cyfry, filozoficzne zbliżenia astronomiczne przewroty grożą jednocześnie naszemu padołowi płaczu.

Prawdopodobieństwo kataklizmu jest tem większe że bezpośrednia jego przyczyna, kometa, jest rodzaju żeńskiego, a rodzaj ten już przy początku świata dał się nam we znaki. Gdyby zaś językoznawcy, klasycy filologowie i skrupulatni polyglotowie, chcieli zbijać mnie jakimś wywodami z gramatyk porównawczych, — ja im odpowiem po prostu że ponieważ kometa ciągnie za sobą ogon, którym ziemię zmieść przyrzeka niema więc wątpliwości że jest kobietą i że zginie wszyscy z tem słodkim przekonaniem iż koniec świata odbył się według ostatniej mody.

Bądź więc zdrow czytelniku i ratuj się jak możesz... ja prawdopodobnie powierzę losy moje w ręce p. Brunelle „aereostatien de la republique française,” który dopomagał Francji do przetrwania złego nierównie większego jak koniec świata, bo... Niemców.

ROZMAITOŚCI.

— Piśmiennictwo naukowe rosyjskie poniosło ostatnimi czasy dwie dotkliwe straty. Dnia 2 lipca r. b. zmarł w Kargopolu w gubernii Olonieckiej, dokąd chwilowo był się udał dla uzupełnienia postrzeżeń etnograficznych, uczony sławista Aleksander Hilferding. Był to jeden z najbieglejszych znawców języków słowiańskich i historyi ogólnej Słowiańszczyzny, zwłaszcza zaś dziejów pierwotnych tego plemienia. Jego *Historia Słowian Nadbaltyckich* bardzo wiele ciemnych punktów wyjaśniła w dziejach „oplakanego apostołstwa” Niemców przy ujściach Elby, na Rugii i całym Pomorzu. Praca to niemalże wartości i nieobojętna dla badaczy historycznych polskich. Podobnie wielkie pochwały oddają jego *Listom o Serbii*. Miłość wszakże zbyt wyłączna Słowiańszczyzny i jej zjednoczenia politycznego w duchu stronnictwa słowianofilskiego, zapędzała go niekiedy po za granice ścisłości sądu, a nawet sprawiedliwości dla innych inaczej patrzących na bieg rzeczy. Umarł w pełni rozkwitu życia, mając zaledwie lat 41. — Drugą stratą piśmiennictwa rosyjskiego, jeżeli sprawdzą się wiadomości prywatne z Hong-Kongu, jest zgon młodego niestrudzonego podróżnika Mikłucha Makłaja w Nowej Gwinei, dokąd był w roku zeszłym wysłany przez Towarzystwo geograficzne petersburskie. Zmarł był wielkim miłośnikiem geografii i zoologii, a prace jego specjalne ogłaszane przez Towarzystwo wiele rokowały w przyszłości. W Nowej Gwinei trawiony żądzą odkryć żył wśród dzikiej przyrody i dzikiej ludności, mając do usług i towarzystwa tylko jednego Anglika i negra z Haity. Zimnica okolic australskich, zabójcza dla Europejczyków, jak mówią listy prywatne, przecięła pasmo jego żywota.

Zeszyt szósty
ENCYKLOPEDII POWSZECHNEJ
S. ORGELBRANDA
w 8-miu tomach
opuścić prasę.

Treść: Wczasy Warszawskie. X. Stronnictwa, Krupińskiego. — Oko niewidzialne, opowiadanie Erckmann-Chatriona (c. d.) — Korrespondencya z Czerskiego. — Przegląd muzyczny, Fuzy. — Literatura Zagraniczna (c. d.) — Rotunda budynku wystawy Wiedeńskiej. — Ze świata Naukowego i Społecznego. Wezuwiusz i jego wybuchy (dokoń.) — Kronika. — Rozmaitości. — Ogłoszenie. — Ryciny: Professor Palmieri. — Sysmograf Palmieri'ego. — Rotunda budynku wystawy wiedeńskiej.